



ROK LIX

№ 32

BLUSZCZ TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 7 SIERPNI 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: W imię własnego dobra — *Z. Bogórska*. Z życia osadników na Wołyniu (korespondencja Bluszczu) — *H. Ceysingerówna*. Zamiast radja — *M. B. Ł.* Pięćdziesiąta rocznica śmierci pani George Sand — *K. Bielańska*. Z nad Nilu — *Zofja Grzymalowska*. Trwoga. — Człowiekowi obojętnemu — *Janina Brzostowska*. Z wędrówek po dole — *Z. Reutt-Witkowska*. Panna Kamilcia (d. c.) — *Cecylja Walewska*. Córka Boga (d. c.) — *Z. Zawiszanka*. Tajniki świata zwierzęcego (d. c.) — *Janina Maszewska-Knappe*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Ubrania kobiece pod kontrolą państwową. Dział praktyczny: Mody i roboty. Jumper szydełkowy, wyszywany jedwabiem. Smokingi a pasiaki. Polska współczesna. Przemysł ludowy na Wołyniu — *H. Ceysingerówna*. O kukurydzy, czyli „tureckiej pszenicy“ słów kilkoro — *K. Bielańska*. Łód sztuczny — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jej imię“ — *Concha Espina* (autoryzowany przekład z hiszpańskiego T. Jakubowicza). Arkusz wzorów. Tablica krojów.

W IMIĘ WŁASNEGO DOBRA.

Kiedy w Nr. 20-ym Bluszczu z d. 15 maja b. r. umieściłam na końcu swego artykułu informacyjnego o międzynarodowym kongresie kobiecym w Paryżu wezwanie do naszych stowarzyszeń kobiecych, aby zechciały w kongresie tym wziąć udział, przynajmniej w charakterze gości, dla poinformowania opinii międzynarodowej o naszych stosunkach, naszej pracy i osiągniętych przez nas rezultatach — nie przypuszczałam, że ten głos mój okaże się „głosem wołającego na puszczy“, i że na kongresie paryskim znajdą się reprezentantki wszystkich państw i narodów, za wyjątkiem Polski.

Jedynym oddźwiękiem mego artykułu był skierowany pod moim adresem przez jedno z większych pism prowincjonalnych zarzut, że, nawołując do udziału w tym kongresie, prowadzę propagandę feministyczną.

Przed zarzutem tym nie widzę potrzeby nawet się bronić. Propaganda feministyczna w kraju, gdzie konstytucja gwarantuje kobietom równe prawa obywatelskie, byłaby śmiesznym i niepotrzebnym anachronizmem. Osobiście zresztą nigdy nie hołdowałam feminizmowi, uważając, że w okresie niewoli, głoszenie hasła równości obu płci wobec prawa nie może mieć miejsca tam, gdzie wszyscy obywatele państwa są tych praw pozbawieni. My, kobiety polskie, byłyśmy faktycznie równouprawnione z mężczyznami już w epoce niewoli — dzieliłyśmy te same prace i trudy, niebezpieczeństwa, a często więzienie i wygnanie. Jedynym też prawem, którego dzisiaj, zdaniem mojem, kobieta polska domagać się winna — to prawo brania udziału w pracy dla dobra wskrzeszonej Ojczyzny.

Tyle co do moich poglądów na feminizm i prawa kobiety w Polsce. Powracam teraz do zasadniczego tematu, mianowicie do udziału naszych przedstawicielek w międzynarodowych kongresach kobiecych.

Przedewszystkiem stwierdzić muszę, że najważniejszym celem tych kongresów nie jest już dziś, jak to było jeszcze przed kilkunastu laty, domaganie się praw obywatelskich dla kobiet różnych krajów. Prawa te zostały im już w większości państw europejskich, a we wszystkich prawie pozaeuropejskich, przyznane całkowicie lub częściowo. Kongresy dzisiejsze mają przedewszystkiem na celu skoordynowanie pracy kobiecej w różnych krajach i na różnych polach, rozwiązanie całego szeregu zagadnień, żywo obchodzących świat kobiecy, skonsolidowanie opinii kobiecej, a przez to i wywieranie także, pośrednio, wpływu na opinię publiczną międzynarodową.

Czy kobiety polskie nie miałyby nic do powiedzenia na tych kongresach? Czy nie mamy żadnych zainteresowań i zagadnień, wspólnych z kobietami innych krajów? Czy nie mamy wreszcie obowiązku przypomnienia opinii zagranicznej — na tem polu pracy, jak i na każdym innym — że Polska istnieje, pracuje, rozwija się i wciąż idzie naprzód?

Ale może zarzuci mi kto, że wysnuwam zbyt pośpieszne i pesymistyczne wnioski z pojedynczego faktu nieobecności kobiet polskich na kongresie paryskim. Może reprezentantki nasze biorą udział w innych międzynarodowych zjazdach i kongresach, może tylko Międzynarodowy Związek Równouprawnienia Kobiet jest organizacją, nieodpowiadającą swym celem, lub kierunkiem naszym stowarzyszeniom kobiecym, i dlatego jest przez nie bojkotowany?

Biorę do ręki pierwszy z brzegu numer któregośkolwiek z zagranicznych pism kobiecych — w tym wypadku jest to „International Woman News“, organ tegoż Związku, zamieszczający z całkowitą bezstronnością informacje o ruchu i działalności kobiet we wszystkich krajach świata. W rubryce „Wiadomości Międzynarodowe“ rzuca mi się odrazu w oczy następująca notatka:

„Kobiety z krajów Małej Ententy odbyły w grudniu r. z. zjazd w Atenach. Na zjeździe tym były obecne delegatki Rumunii, Czechosłowacji, Jugosławii i Grecji — brakowało tylko przedstawicielki Polski.“ Podkreślenie pochodzi odemnie — redakcja pisma nie dodaje od siebie żadnej uwagi, zadawałmiając się prostym stwierdzeniem nieobecności Polek, poświęca natomiast sporo miejsca temu zjazdowi, na którym, jak pisze, „rozważane były różne doniosłe i aktualne zagadnienia, między innymi, kwestja rozwodów, przeciwko którym delegatki krajów katolickich wypowiedziały się stanowczo, podczas gdy reprezentantki krajów, gdzie dominuje wyznanie greckie, zapatrywały się na tę kwestję w sposób bardziej tolerancyjny.“

Otwieram teraz jeden z numerów miesięcznika „The Catholic Citizen“, — organu angielskiego „Związku Społecznego i Politycznego im. Św. Joanny“ (St. Joan's Social and Political Alliance) — i czytam:

„D. 1 czerwca r. b., z inicjatywy naszego Związku, odbyło się w gościnnie użyczonym przez przewodniczącą, panią Corbett-Ashby salonie hotelu Lutetia, zebranie delegatek z krajów katolickich, przybyłych na kongres paryski. W zebraniu tem brało udział trzydzieści cztery panie, reprezentujące trzynaście krajów: Anglię, Szkocję, Irlandję, Francję, Belgię, Hiszpanję, Austrię, Niemcy, Jugosławję, Ukrainę, Stany Zjednoczone Północnej Ameryki, Peru i Newfundlandję. Pomiedzy zebraniem specjalną uwagę zwracała księżna de Croy, bohaterka wielkiej wojny, uwięziona, jak wiadomo, za pomoc, którą okazała Edycie Cavell, oraz księżna Radziwiłłowa, członkini Sekretarjatu Ligi Narodów.“

„Princess Radziwill“. A więc — zdawałoby się — mieliśmy i my swą reprezentantkę na tem zebraniu delegatek krajów katolickich. Jednak imię Polski nie figuruje na liście owych trzynastu krajów, pomiedzy Jugosławją, Peru a Ukrainą. Widocznie owa „Princess Radziwill“, jeśli jest Polką (czego nie mogłam się dowiedzieć), nie podkreśliła dostatecznie silnie swej polskości i wolała być zamieszczoną na liście obecnych jedynie, jako delegatka Sekretarjatu Ligi Narodów. Nie znajduję też żadnej wzmianki o zabieraniu przez nią głosu w dyskusji na owem zebraniu, chociażby podczas tak interesujących enuncjacji, jak następująca:

„Madame Szeparowycz, delegatka ukraińska, należąca do Kościoła Unickiego Ukraińskiego, opowiedziała w niezwykłe zajmujący sposób, jak w jej małym znanym kraju, zamieszkanym przeważnie przez ludność włościańską, kobiety łączą w sobie gorący katolicyzm z entuzjazmem dla sprawy kobiecej, a księża proboszczowie uważają za swój naturalny obowiązek ogłaszać z ambony o zebraniach feministycznych“.

Może i my miałyśmy niejedno do powiedzenia w sprawie naszego ruchu katolickiego, również jak i pracy kobiecej — czy to w Sejmie i Senacie, czy na polu szkolnictwa, pedagogiki, nauki, higieny etc. etc.? Może na owem zebraniu kobiet krajów katolickich znalazł się ktoś, co się interesował Polską i jej stosunkami wewnętrznymi — a wobec milczenia owej „Prin-

cess Radziwill“ pozostawało chyba udać się po informacje do „Madame Szeparowycz“?

Wiem od uczestniczek kongresu rzymskiego z przed trzech lat — Senatorki Szebekówny i Dr. Eleonory Reicherówny — jak wiele miały pola na tym kongresie do informowania kobiet innych krajów o Polsce — jak bardzo mało znane i często zupełnie mylnie sądzone są tam stosunki, panujące u nas — a zwłaszcza, ile musiały włożyć swej pracy w zwalczanie zupełnie świadomie szerzonych, na tym kongresie właśnie, fałszywych i wrogich nam informacji o Polsce — jak natrafiły na całą, pracowicie przeprowadzaną agitację w celu zohydzenia nas w oczach świata.

Czy możemy być pewni, że na kongresie paryskim — i na tych wszystkich innych zjazdach, w których kobiety nasze nie brały udziału, — nie powtórzyło się to samo?

Jeśli tak było — to odpowiedzialność za to spada także i na nas same. My to jesteśmy winne, że o sprawach Polski informuje międzynarodową opinię kobiecą pani Szeparowycz. Nasza to wina, że imię Polski nie figuruje na liście krajów katolickich, gdy mowa jest o działalności kobiet w kierunku wprowadzania w życie naczelných zasad chrześcijaństwa. Przecież mamy u siebie liczne i dobrze zorganizowane stowarzyszenia kobiece, zarówno katolickie, jak i lewicowe, przecież na każdym polu pracy nie brak u nas kobiet dzielnych, rozumnych, energicznych — czemuż o tem wszystkim tak mało, albo nic, nie wie zagranica?

Mówiła mi senatorka Szebekówna, że na wszystkich zjazdach międzynarodowych, w których brała udział, zdumienie i zachwyty wszystkich uczestniczek wzbudzało proste tylko wyliczenie rezultatów pracy oświatowej, dokonanej przez nasze państwo w przeciągu ostatnich lat siedmiu. Trudno było poprostu uwierzyć niektórym cudzoziemcom, żeby w tej naszej Polsce powstało w tak krótkim czasie tyle szkół powszechnych, tyle zakładów zawodowych i ogólnokształcących, trzy nowe wszechnice i t. d. Cyfry te poprostu imponowały Amerykankom, Francuzkom, Angielkom...

Ale nie wystarczy raz czy dwa razy powiedzieć o tem — trzeba ciągle, przy każdej sposobności, informować innych nie tylko o jednej, ale o wszystkich naszych dziedzinach pracy — trzeba przedstawiać cudzoziemcom, tak mało nas znającym, możliwie pełny obraz rozwoju naszego państwa we wszystkich dziedzinach życia.

Na dowód, jak daleko sięga dziś jeszcze — gdy Polska już oficjalnie zaliczoną została do rządu mocarstw europejskich — nieznaną jest najprymitywniejszych rzeczy z dziedziny naszych stosunków wewnętrznych, a zarazem, jak chętnie dowiaduje się zagranica o Polsce i jak się nią interesuje — przytoczę tylko kilka faktów z mego własnego doświadczenia — i to z bardzo krótkiego okresu pracy mojej w „Bluszczu“.

Mając, jako sekretarka redakcji, powierzoną sobie misję nawiązania kontaktu ze stowarzyszeniami i pismami kobiecymi zagranicą — rozpoczęłam od rozesłania na wszystkie strony świata listów, proponujących wzajemną wymianę pism oraz ewentualne nadsyłanie krótkich notatek, informujących o życiu i pracy kobiet polskich. Propozycja ta została przyjęta przez wszystkie, prawie bez wyjątku, redakcje pism kobiecych francuskich, angielskich, amerykańskich, australijskich, włoskich, czeskich, szwajcarskich, egipskich, hinduskich etc. etc. — z prawdziwą radością, tak, że potem przy nawale innej pracy trudno było

poprostu naszej redakcji uiścić się z powziętych zobowiązań. Niektóre z owych pism zaczęły prowadzić z „Bluszczem“ regularną korespondencję, zapytując o różne kwestje, prosząc o szczegółowe informacje z tej lub owej dziedziny i t. d. Nie brakło i incydentów humorystycznych. Bułgarski „Wiestnik na Zenata“ zamieścił notatkę, w której z okazji uroczystości p. Curie-Skłodowskiej stwierdzał z najgłębszym zdumieniem, iż dopiero z „Bluszczu“ dowiedział się o tym niebawym fakcie, że pani Curie-Skłodowska jest Polką.

Jedno z pism angielskich zwróciło się do nas z pytaniem, dlaczego, poruszając najrozmaitsze zagadnienia, nie dotykamy nigdy kwestji równouprawnienia kobiet w naszym kraju? W wyjaśnienia, że konstytucja gwarantuje nam to równouprawnienie i że nie potrzebujemy o nie walczyć — przyjęte zostało ze szczerem zdziwieniem. „Nie przypuszczaliśmy, że Polska jest krajem tak postępowym“ pisze z uznaniem redaktorka tego pisma — i prosi jednocześnie o odpowiedź na następujące pytania: czy mamy kobiety posłankami w sejmie i senacie? I jeśli tak, do jakich obozów politycznych należą i na jakim polu pracują? Jakie mamy stowarzyszenia kobiece i jakie są ich cele? i t. d.

Na wszystkie te pytania trzeba było dawać wyczerpujące odpowiedzi, co przy szczupłym personelu redakcyjnym i nawale innych zajęć przedstawiało dość dużą sumę wysiłku.

Tego rodzaju propaganda — jedynie zresztą słuszną i celową — spotkała się, niestety, z dość dużą obojętnością ze strony naszych stowarzyszeń kobiecych, do których zwracaliśmy się o pomoc i współpracę w informowaniu zagranicy. Podobno istnieją w różnych organizacjach sekcje zagraniczne, ale trudno mi było bardzo spenetrować, co robią. Próba nawiązania kontaktu z Radą Narodową Kobiet, oraz wspólnego wydawania „Komunikatu“ dla zagranicy w językach francuskim i angielskim — zawiodła. Nie udało się również wciągnąć do współpracy Młode Ziemiarki, o których wiem, że razem ze swą macierzą — Stow. Zjednoczonych Ziemiarek — prowadzą doskonałą i bardzo skuteczną propagandę zagranicą: w Belgji, Czechach i t. d. — na terenie pracy rolniczo-gospodarczej, w „Cercles des Fermiers“ etc.

Trudno! Chodzenie samopas jest widać cechą — zbyt już zakorzenioną w psychice polskiej. A szkoda! Bo wysiłkiem wspólnym zawsze łatwiej i skuteczniej osiągnie się cel. Nie wątpię zresztą, że z czasem społeczeństwo — a szczególnie część jego niewieścia — oceni należycie pracę „Bluszczu“ i zacznie się przy tej, tak naprawdę pożytecznej i cennej placówce, skupiać i łączyć.

Tymczasem jednak — zanim to nastąpi — zwracam się do wszystkich organizacji kobiecych — zarówno z prawicy, jak i lewicy — z usilną i gorącą prośbą: nie zaniedbujcie żadnej okazji do przyponnienia światu o swem istnieniu; bierzcie udział we wszystkich pracach, które leżą w dziedzinie waszej działalności, łącznie z kobietami innych krajów. Nie może usprawiedliwić naszej nieobecności na tym, czy owym kongresie okoliczność, że program Związku, który go zwołał, nie odpowiada całkowicie naszym poglądom i przekonaniom. Mamy stowarzyszenia międzynarodowe, szczerze i gorąco katolickie — wielką i potężną Ligę Katolicką (I.K.A.), mniejsze, lecz ruchliwe kobiece związki — wzmiankowaną już Ligę św. Joanny, „Ligę Francuską“ pod przewodnictwem J. E. kard. Dubois etc. etc. Co przeszkadza naszym stowarzyszeniom katolickim — Kat. Zw. Polek, Stow. Zjedn. Ziem., N. O. K. — wziąć udział w ich zjazdach w charakterze, czy to gości, czy członków?

Stowarzyszenia lewicowe, ciągną bardziej ku międzynarodowej „Lidze pokoju i wolności“, na której zjazdach przedstawicielką naszą była dotychczas stale dr. Budzińska-Tylicka. Czy i w tym roku brała udział w kongresie dublińskim, czy też może coś stanęło jej na przeszkodzie, tak, jak i stałej reprezentantce naszej w „Międzynarodowym Związku Równouprawnienia Kobiet“, Senatorce Szabekównie?

Niechże odtąd jednym z punktów programu naszych stowarzyszeń kobiecych będzie — stałe i ciągłe komunikowanie się z odpowiadającymi sobie przekonaniem i programem związkami kobiecymi zagranicą. Niechże już na żadnym kongresie międzynarodowym nie zabraknie naszej przedstawicielki, któraby mogła poinformować cudzoziemki o Polsce i stanąć, w razie potrzeby, w obronie naszej przed wrogami naszego narodu — w imię naszego własnego dobra.

Z. Bogórska.

Ż ŻYCIA OSADNIKÓW NA WOŁYNIU.

(Korespondencja „Bluszczu“).

Jest rzeczą nad wszystko radosną, gdy stwierdzić można, że w jakimś zakątku Polski normuje się życie, nowe, mocne, bujne życie. Jeszcze radośniej jest, gdy życie to stwarza wytrwała, celów swoich świadoma wola.

Takie wrażenie daje zetknięcie się bliższe z osadnictwem wojskowym na pograniczu zachodnim.

Zastrzegam się, że tylko w powiecie Krzemienieckim danem mi było na życie to rzucić uważnym spojrzeniem i zebrać o niem garść źródłowych informacji. Wszystko więc, co mówię w dalszym ciągu, do tego tylko powiatu się stosuje, jakkolwiek pewno niejedno spostrzeżenie dałoby się rozszerzyć na całe nasze osadnictwo wojskowe.

Przedewszystkiem rozwiać pragnę tendencyjnie szerzoną opinię, jakoby osady wojskowe powsta-

wały na ziemi, odebranej miejscowym żywiolom polskim.

Na terenie, o którym mowa, ani jedna pieczęć ziemi nie poszła z rąk polskich w ręce osadników. Tylko opuszczone podczas wojny przez właścicieli Rosjan posiadłości, dane im ongi za zasługi wiadomego rodzaju, uległy podziałowi i kolonizacji wojskowej. Wyjątek stanowi kilkanaście hektarów, przez wielkich właścicieli — Polaków dobrowolnie ofiarowanych na cele osadnictwa wojskowego. Dar, zresztą, bardzo wątpliwej wartości!

Na mocy ustawy z dn. 17 grudnia 1920 r. objęli osadnicy wojskowi w powiecie Krzemienieckim 10 tysięcy hektarów ziemi. Na obszarze tym mieszka obecnie przeszło 700 osadników; wraz z rodzinami ludność osadnicza wynosi przeszło 3 tysiące osób.

Działki są trojakiemu typu. Normalny, najczęściej spotykany nadział wynosi od 9 — 15 ha. Odznaczeni otrzymywali od 15 do 20 ha. Fachowi rolnicy, zobowiązani do wzorowego gospodarstwa, dostawali po 45 ha. Wśród tych drobnych posiadłości wyróżniają się rzucone gdzieś większe folwarki zasłużonych, wyższych wojskowych; są to najczęściej t. zw. „ośrodki“, dwór z ogrodem, z zabudowaniami.

Wśród osadników pow. Krzemienieckiego, znajdują się i dwie były legionistki: podpułkownik Aleksandra Zagórska, komendantka Ochotniczej Legji Kobiet, oraz adiutantka jej, porucznik Stanisława Paleolog. Działki ich należą do osady, zwanej Wydumką.

Niema chyba człowieka w Polsce, któryby nie słyszał o niesłychanie ciężkiej i twardej doli osadnika w pierwszych momentach jego osadniczego żywota. Przybyli ci ludzie na pustkę, zastali ziemię i niebo. Do pomocy mieli najczęściej tylko rąk dwoje; żadnego kapitału! Żadnych instytucyj kredytowych! Rząd dawał jako zapomogę budulec na budowę domu (obecnie zamieniono na gotówkę). Ale budulec trzeba było kupić, nieraz z bardzo daleka. Trzeba było więc kupić konia, albo zwozić najętymi. A gdzie mieszkać tymczasem? Różnie bywało. Mieszkało się niekiedy u sąsiada — chłopca, niekiedy w najbliższym miasteczku, ale mieszkało się także i w ziemiankach, znosząc wszystkie niewygodę, całą dzikość takiego trybu życia. Był to okres łamania się z niesłychanymi trudnościami i z całym morzem kłesk, biorących źródło w tej przetrudnej sytuacji. Osadnikom padały konie, kupione za ostatnie, albo nawet za pożyczone pieniądze, chorowały i umierały żony, dzieci, nie mogąc przetrzymać fatalnych warunków bytu; niechętna ludność miejscowa czyniła szkody na każdym kroku, wpadały bandy dywersyjne. Mroził osadnika mróz i paliło go do śmierci słońce, na gołym, odkrytym, bezdrewnem polu; nędza i głód zaglądały mu w oczy, a trud nad siły wyciągał z mięśni ostatnie elementy mocy.

Niejedni nie wytrzymał i poszedł sobie... zostawiając darowaną mu ziemię na wolę losu i Rządu... ale ci, co zostali, ci, co przetrzymali złą dolę, stanowią dziś zaprawdę jakby pierwsze pokolenie nowej mocnej rasy, nieznaney dotąd w Polsce rasy ludzi, co dolę swą i swego kraju kształtować będą z zawziętością woli żelaznej i nieustępliwej, ludzi, co się nie poddadzą losowi, ale go złamią, lub do woli swojej nagną.

„Dziś już nie te czasy — dziś już wszystko dobrze!“ — mówią osadnicy, wspominając ze słuszną dumą pierwsze i najcięższe lata gospodarki na Kresach.

Dziś już 80% osadników pobudowało domy i jakie takie zabudowania gospodarskie. Dziś mają już po kilka sztuk koni i to nawet własnego chowu. Mają już krowy i mleko dla dzieci, i drób, i warzywa w ogrodach. A w dodatku jest coraz lepiej. Wola człowieka wyczarowuje powoli z tej ziemi dobrobyt i zadowolenie, i piękno.

Niech mówią najwymowniejsze zawsze cyfry i fakty. Osadnictwo nie wyszło jeszcze oczywiście ze stadjum organizacji. Wszystko się tu dopiero tworzy, wszystko się zaczyna, ale rok każdy przynosi nowe zdobycze.

Gospodarstwo rolne ma na razie charakter przeważnie zbożowy. Ale zaprowadzono plodozmian, pięcio lub sześciopolowy, co w tym kraju drewnianych pługów i archaicznej trzypółówki, stosowanej zarówno przez drobnych, jak i przez wielkich właścicieli, jest kolosalnym postępem.

Niepraktykowaną też dotąd rzeczą było w tamtych stronach użycie nawozów sztucznych. A właśnie na jesieni i na wiosnę przybyło do Krzemieńca 24 wagony nawozów sztucznych. Odbiorcami byli wyłącznie osadnicy. Poza nimi — nikt! Ani drobna, ani wielka własność!

Zwiedzając wzorową, 45 hektarową działkę w Chotowicy Wielkiej miałam możność stwierdzić wspaniałe rezultaty wyteżonej i umiejętnej pracy osadnika — inteligenta. Widziałam też, jak po jego miedzach chodzili miejscowi włościanie, podziwiając pełne i ciężkie kłosa jego żyta, olbrzymie krze jego kartofli, sadzone we właściwej odległości jeden od drugiego (nie po tutejszemu); chodzili, zadumani głęboko nad tem, dlaczego ten osadnik mieć będzie zbiory, dziesięć razy od nich obfitsze? I w tem tkwi właśnie kulturalna misja osadników.

Być przykładem, podnieść ogólny poziom kultury rolnej! Już się to dzieje. Już chłop, często nawet bezkrytycznie zapatruje się na działalność osadnika. Krąży tu na ten temat zabawne anegdoty.

Niezależnie od uprawy zbóż, eksperymentują osadnicy w różnych kierunkach. Idąc za przykładem osadników Czechów, zamierzają zakładać chmielniki. Tu i ówdzie widać rośliny oleiste: rzepak, konopie, mak. Ten ostatni, gdy zakwitnie, kładzie się na polu cudną, wielobarwną luną. A praktycznie? Za poletko maku „na pniu“ dostał w mojej obecności właściciel wzorowej działki 1.000 zł., grosz przed żniwami bardzo cenny. Sieją też osadnicy koniczyzny nasienne, co tutaj dotychczas jest także osobliwością, sadzą buraki cukrowe i t. d. Są to wszystkie próby. Bada się, który produkt najlepiej się udaje, który posiada tu najlepsze warunki zbytu.

Po za tem stawia się pierwsze kroki w kierunku uprzemysłowienia gospodarki. W osadach powiatu Krzemienieckiego założono już 6 ogrodów owocowych o charakterze handlowym. Z tych jeden w Woli Rycerskiej u kapitana Bródzińskiego, na przestrzeni 10 hektarów, drugi tej samej wielkości w Napadówce u p. Abrahamowicza. Nawiasem mówiąc, jest to najstarsze i najkulturalniejsze gospodarstwo osadnicze w całym powiecie.

Zakładanie sadów owocowych nabiera znaczenia dopiero, gdy się zważy, że w takim Krzemieńcu żadnego innego owocu dostać nie można, prócz dzikich drobnych czereśni, leśnych poziomek i malin. Przyroda daje tu wszystko. Ludzie nie wypracowali nic. Tak się wydaje, ale gdy weźmiemy historję do ręki, okazuje się, że było inaczej. Była tu niegdyś kultura, były i sady owocowe, bo, był przecież w Krzemieńcu ogród botaniczny, z którego nie pozostał ślad. Wszystko, wszystko zmarnowała ręka niszczycieli; na tych szczegółach drobnych życia codziennego, uczy się człowiek nienawidzić przemoc moskiewską, która ogniska oświaty zamieniła w ruiny, kulturalne gospodarstwa — w dzicz stepową. A teraz trzeba wszystko stwarzać na nowo.

I oto idzie osadnik polski, żołnierz i rolnik w jednej osobie, idzie tępić chwasty i krzewić nowe życie.

Założyli osadnicy pow. Krzemienieckiego 3 młeczarnie spółdzielcze: w Dużych Zahajcach, Białozórce i Książynie (Wola Wilsona). Posiadają 12 obiektów młynarskich, przynoszących przeciętnie 500 zł. miesięcznego dochodu. A zważyć trzeba, że otrzymali tylko słupy po młynach i ślady po groblach, że to wszystko trzeba, było wystawić, zbudować... Młyny są własnością poszczególnych osadników. Zakłada się także gospodarstwa rybne tam, gdzie są

sprzyjające po temu warunki. W Kudłajówce i Podhajcach zapoczątkowano specjalną hodowlę karpi.

W Napadówce nad Horyniem założono hodowlę łoży koszykarskiej.

W Krywczkach podjęto próbę urządzenia olejarni, która przerabia konopie i mak.

Na miododajnym Wołyniu nie zapomniano oczywiście o pszczołach. W 48 zagrodach osadniczych są już pasieki. Z tych 7, liczących po 50 pni, znajdują się w pełnym rozwoju.

Dodajmy jeszcze dla pełnego obrazu dokonanej pracy 2 prywatne cegielnie, 3 piece wapienne i 4 kamieniołomy, wreszcie dostateczną naogół wszędzie ilość maszyn i narzędzi rolniczych.

W hodowli zwierząt domowych przestrzegają osadnicy pewnego planu. Hodują najchętniej konie pół krwi wschodniej, dążąc do wskrzeszenia dawnej polskiej rasy, bydło krajowe czerwonej rasy, świnie białe, angielskie. W dziale drobiu największym uznaniem cieszą się zielononóżki. Hodują także sporo indyków i perlic. Gęsi i kaczki tylko tam, gdzie jest woda.

Jedwabnictwa nie próbowano dotąd nigdzie.

A wszędzie dokoła, jadąc przez osady, widzi się wyteżoną pracę: wznoszenie budynków, pokrywanie ich dachem, grodzenie płotów, kopanie studzien, roboty polne i ogrodowe. Jest w tem jakiś rozmach amerykański, jest i coś z powieści Rodziewiczówny. Tylko, że u autorki tej wszystkie prace dziwnie szybko są dokonywane, a w rzeczywistości tak szybko to nie idzie, i nigdy człowiek miejski dokładnego pojęcia o ogromie tego trudu i o twardości bezwzględnej tego życia stworzyć sobie nie potrafi. Ładne opowiadanie tu nie pomoże. To trzeba przeżyć samemu.

Ale na tych pracach poszczególnych i zbiorowych nie kończy się działalność osadników.

Oprócz potrzeb ciała, są jeszcze potrzeby ducha. I oto wznosi się zbiorowymi siłami 9 domów ludowych: w Książynie, zwanym Wola Wilsona, w Du-

żych Zahajcach, w Katerburgu, Białozórce, Jankowcach Białozorskich, Narutowiczach i Woli Rycerskiej. Jedne z nich służą już za miejsce zebrań, wykładów, zabaw; inne są dopiero w budowie. Budują osadnicy własnym kosztem 4 szkoły. Jedna z nich w Woli Wilsona — już czynna. W Woli Kurybytowieckiej czynną będzie od jesieni. A jest to piękny budynek, murowany w stylu wiślano-baltyckim, którego kosztorys obliczono na 58 tysięcy złotych. W budynku szkolnym, obliczonym na 120 dzieci i 2 siły nauczycielskie, mieszczą się także mieszkania dla nauczycieli. Cała pomoc, jaką w tym wypadku otrzymali osadnicy, wyraża się w dwóch sumach: 1000 zł od Magistratu miasta Lwowa i 1500 od miejscowego sejmiku.

Są i biblioteki. Ogólna biblioteka w Wiśniowcu liczy ponad 1000 tomów i obsługuje wszystkie bliższe osady. Poza tem są mniejsze, w innych miejscowościach. Rolniczych bibliotekzek wędrownych posiadają osadnicy 5. W porze zimowej odbywają się często wykłady i kursy rolnicze. Osadnicy współpracują ściśle z miejscowem Kołem P. M. S. Założony przez Centralę Związku, Rolniczy Uniwersytet Korespondencyjny ma tu dość licznych korespondentów.

Uczucia religijne osadników wyrażają się w budowie krzyżów przydrożnych, dość często niszczone przez tajemnicze, złośliwe ręce. W Poczajowie, wprost prawosławnej Ławry, wzniesli osadnicy kaplicę katolicką na 200 osób. Drugą zbudowano w Napadówce. Prócz tego każda osada marzy o zbudowaniu choć niewielkiej kapliczki.

Przedstawicielem zbiorowych interesów osadnictwa Krzemienieckiego jest Powiatowy Związek osadników, z siedzibą w Krzemieńcu. Tam także mieści się Społeczny Bank Spółdzielczy, podejmujący działalność kredytową i towarową, pośredniczący w zbycie produktów, zakupie szlachetnych nasion, nawozów sztucznych i t. d.

Krzemieniec, w lipcu.

H. Ceysingerówna.

ZAMIAST RADJA.

Pozadomowa praca matek.

Z omawianego w poprzednim numerze „Bluszczu“ referatu p. Baers warto przytoczyć, ujawniony przez ankietę w różnych krajach, wpływ pracy matek na śmiertelność niemowląt. W Belgii lekarze urzędowi zgodnie stwierdzają w okręgach fabrycznych wzmożoną śmiertelność niemowląt, dochodzącą do 29%. Natomiast w miejscowości St. Nicolas, gdzie fabryki nie zatrudniają matek w ciągu 2 miesięcy po urodzeniu dziecka, śmiertelność niemowląt do tego wieku jest b. niska. W Niemczech, w okręgu Mainz, zaobserwowano, że śmiertelność niemowląt waha się od 31 do 34%, stosownie do tego, czy matki pracują poza domem, czy też wyłącznie mu się poświęcają. Oczywiście, obok braku opieki macierzyńskiej, na wysoką śmiertelność dzieci oddziałują ujemne warunki mieszkaniowe, alkoholizm rodziców i wogóle całokształt niehigienicznych warunków, w jakich żyją robotnicy.

W dalszym rozwoju dziecka robotniczego brak matki w domu odbija się fatalnie na ukształtowaniu moralności. Pozostawione sobie samym, dzieci wychowują się na ulicy, nabierają nałogów, zawierają złe znajomości i wciągane bywają do niemoralnych, lub

nawet zbrodniczych uczynków. Nawet po powrocie do domu, matka, przemęczona pracą zarobkową, skłopotana koniecznością załatwienia w pośpiechu najpilniejszych przynajmniej spraw gospodarczych, nie jest zdolna do poświęcenia uwagi moralnej stronie swych dzieci. Ankieta belgijska znajdowała tylko wyjątkowo kobiety, kończące pracę o 4 po południu i mieszkające o 10 — 15 minut drogi od zajęcia; wszystkie inne pracowały dłużej ku wieczorowi, a wiele miało mieszkania, odległe o godzinę i więcej drogi do miejsca pracy. W Ameryce, na 522 robotnic ankietowanych, piąta część zatrudniona była stale pracą nocną, a dziećmi i domem zajmowała się, ujmując sobie odpoczniku i snu w dzień; piąta część ankietowanych zostawiała dzieci na opiece sąsiadów, lub sublokatorów; piąta część — na opiece krewnych, niezawsze mieszkających w tem samym mieszkaniu; dziesiąta część — na opiece ojca, bezrobotnego, zarobkującego pracą domową lub nocną; piąta część matek miała dzieci bez opieki dorosłych; wreszcie dwudziesta część ankietowanych powierzała je staraniom osób, płatnych za to specjalnie. Na 522 matek, zarobkujących poza domem, 419, prócz tej pracy, musiały wykonywać same, bez żadnej pomocy, wszystkie zajęcia gospodarcze: goto-

wać, sprzątać, prac, naprawiać i — zajmować się dziećmi.

Wielka szkoda, że międzynarodowe badania związków chrześcijańskich nie objęły Polski, jakkolwiek związki takie istnieją przecież i u nas. Przypuszczamy, że badania na naszym gruncie wyświełłyby wiele szczegółów, na które jedna część naszego społeczeństwa — bezpośrednio w nich zainteresowana — nie zwraca żadnej uwagi, druga zaś częstokroć nie wie wcale o ich istnieniu. Sądzimy też, że w rezultacie takich badań niski poziom moralny rodzin robotniczych w polskich ośrodkach przemysłowych, musiałby być złożony w pierwszym rzędzie nie na pracę pozadomową matek i nie na alkoholizm, lub zaniedbanie ze strony ojców, nawet nie na niski poziom zarobków robotniczych i niedostateczną kulturę mas; w naszych warunkach, jako czynnik zasadniczy zaniedbania moralnego, wystąpiłby przede wszystkim nieprawdopodobne stosunki mieszkaniowe. I może lepiej, że nie skompromitowaliśmy się wobec zagranicy ujawnieniem tych stosunków, niezrozumiałych dla całego świata cywilizowanego, nawet w okresie powojennego głodu mieszkaniowego.

Referat o pracy mężatek, pociągnął za sobą obszerną uchwałę międzynarodowego zjazdu Konfederacji Chrześcijańskich Związków Zawodowych. Główne punkty tej uchwały są następujące:

1. Zarobki głowy rodzin, winny odpowiadać

potrzebom tej ostatniej, by matka rodziny mogła uniknąć pracy zawodowej. Zasada ta w niczem nie naraża zasady: równa płaca za równą pracę.

2. Organizacje zawodowe poszczególnych krajów, winny badać warunki istnienia mężatek, pracujących w różnych gałęziach zatrudnień i domagać się dla nich pomocy i ochrony, mianowicie:

- a. porad lekarskich w czasie ciąży;
- b. ułatwień w pracy w tym okresie;
- c. zniesienia dla nich stałej pracy w pozycji stojącej, lub siedzącej;
- d. płatnego odpoczynku przed porodem i po porodzie;
- e. przerw w pracy i innych ułatwień higienicznych.

3. Organizacje kobiece i władze publiczne winny dbać o uprzystępnienie dziewczętom wykształcenia gospodarczego.

4. Organizacje kobiece winny nadto szerzyć, wszelkimi dostępnymi im środkami, właściwy pogląd na ekonomiczną, moralną i społeczną wartość pracy gospodarskiej kobiety zameżnej.

5. W fabrykach i zakładach, zatrudniających znaczną liczbę kobiet, powinny być z ramienia zarządu intendenci, czuwające nad personelem kobiecym.

W następnym numerze zobaczymy, co z tych postulatów urzeczywistniło ustawodawstwo polskie.

M. B. Ł.

PIĘCDZIESIĄTA ROCZNICA ŚMIERCI PANI GEORGE SAND

Czy też która z naszych Czytelniczek czytała jakikolwiek romans George Sand? Wątpię bardzo. A jeżeli nawet wzięła do ręki którą z tych słynnych niegdyś powieści, to zapewne odłożyła ją wkrótce, znudzona potokiem słów i sentymentalnością uczuć, które niegdyś tak rewolucyjne się wydawały i płomienne. Dawne to czasy, gdy Słowacki matce swej zalecał, aby Indjanę i Lelję przeczytała, a zachwyci się niewątpliwie!

Zato, kiedy wpadła mi niedawno w ręce bezimiennie wydana książeczka (tłumaczona na polski w r. 1863), poświęcona Garibaldiemu i wyzwalającej się Italii, owiał mnie, jakby ciepły prąd, czuło się, że gorące i szczere wzruszenie, kierowało ręką piszącej.

Mój Boże, z jakimże uczuciem mógł je czytać, w tym roku właśnie, Czytelnik polski.

„...Oto silny zapragnął zdruzgotać słabego, a ja, duch wolności i walki, anioł sprawiedliwego odwetu, chcę przyjść z pomocą narodowi, który pragnie znów stać się sobą, uwolnić uciśnionego, oddam skradzioną ziemię jej prawym posiadaczom...”

„Ja“, to znaczy, duch wojny przyszłej, który we śnie jawi się oczom autorki.

Najszlachetniejsza ideologia Francji, ta sama, która przemawiała ustami Lamennais'go, Barbier'a, Delavigne'a, znalazła wyraz energiczny i zgoła męski w tej kobiecie, przyjaciółce Mickiewicza, którą W. Hugo zwał: *la grande femme du siècle*. Życie jej było romansiem, ciekawszym od tych, które pisała.

Aurora Lucylla Amanlijna z Dupinów Dudevant*) przyszła na świat w r. 1804 w Paryżu. Matka jej, uro-

dzona z nieprawej córki Maurycego Saskiego, który był nieprawym synem Augusta II i Aurory Konigsmark. Była zatem pra — prawnuczką króla polskiego.

Wychowywała się w starym zamku Nohant u babki, pani Dupin, *dame a n c i e n r e g i m e u*, walterjanki — nagle przeszła pod wpływ zakonnicy — Augustjanek, oddana na naukę do klasztoru. Naprzód zwano ją tam djablicą, później najmilszą z pensjonarek. Urządzała już wtedy teatrzyk i pisała sztuki, któremi zachwycały się zakonnice i koleżanki. W pietnastym roku miała wizję i marzyła o obleczeniu habitu.

Romantyczka, nie mogła znaleźć szczęścia w powszedniości życia. Małżeństwo, zawarte w r. 1822 z panem Dudevant, nie dało szczęścia, ani jej, ani jemu. W r. 1831 opuściła męża i zaczęła piórem zarabiać na utrzymanie swoje i dzieci. Matką była kochająca, choć kapryśna. Jej korespondencje z córką, to jedna z najbardziej zajmujących książek, traktujących stosunek rodziców do dzieci. Jak prawdziwa jest uwaga, jaką wielka pisarka rzuca ze smutkiem. „Urodziłam ją (*Solange*, późniejszą panią Clésinger), chowałam, kochałam, biłam, a dotąd nie znam jej naprawdę...“ Świat zapamiętał ją sobie raczej, jako kochankę, *la grande amoureuse*, która, wedle tradycji niechętnych, zabiła Musseta i Chopina, przeklętą *„femme à l'oeuil sombre“*, a jednak, jakże wiele matczyńskiego uczucia było w jej romansach!

Trudno dziś rozsądzić ten wielki proces, jaki rozgrywał się między „Nią“ a „Nimi“, ale co pewna, to że nietylko „Oni“ mieli rację. Oto co pisze w swoich wspomnieniach Władysław Mickiewicz: „Piotr Leroure podziwiał bardzo Szopena, ale twierdził, że ten wystawiał cierpliwość pani Sand na straszne próby. George Sand miała zwyczaj zasiadać wieczorem przy biurku i pisać do późnej nocy. Pewnego razu zostawia Szopena przy fortepianie, a sama na palcach

*) Pseudonim George Sand przyjęła, jak wiadomo od nazwiska swego przyjaciela Jules Sandeau, z którym napisała do spółki pierwszą swą powieść.

wychodzi do swej pracowni. Nazajutrz Szopen zrzędzi: „Jak tylko siądę do fortepianu, działa ci to na nerwy i uciekasz“. Za nadejściem wieczoru George Sand już ani drgnie. Szopen gra do drugiej nad ranem. Nazajutrz George Sand widzi go znów rozjątrzoną. „Wiem — oznajmia jej, — że wolisz pracować w tym samym czasie, a zmuszasz się do słuchania późno w noc mej muzyki. To poświęcenie jest nieznośne dla mnie.“ Przyjmowała te przygany bez słowa.“*)

Dopiero, gdy minęły burze miłosne, „kasztelanka z Nohant“, zostawszy panią swej woli, oddała się temu, co było jej powołaniem: pisarstwu. Pokorni adoratorowie, których miała do końca życia, nie wchodzili w rachubę. Długo żyła w tem wiejskim zaciszu, pracując niezamordowanie.

Z pod pióra jej sypały się tomy powieści, drukowanych stale w *Revue des deux Mondes*, rozpraw politycznych, filozoficznych, religijnych. Powieści wiejskie, w których odtwarzała życie swej prowincji, zostaną w jej dorobku literackim, jako dzieła najwartościowsze, cenione nawet przez folklorystów.

*) Paweł Musset, brat poety, wydał książkę paszkwil: *Elle et Lui*. — George Sand odpowiedziała drugą p. t. „*Lui et elle*“.

Starość miała pogodną. „Bóg dobry, dusza nieśmiertelna i wiara w przyszłe życie — to się ostało we mnie wpośród badań wszelakich, a nawet w chwilach zwątpienia rozpaczliwego — pisała w „Historji mego życia“.

W 72 roku życia 10 dni przed śmiercią pisała o sobie: „Czuję się tak silną i swobodną w sobie, jak może nigdy nie bywałam. Wchodzę na schody lekko, jak mój pies.“ Ale cierpienia wewnętrzne, napadające ją czasem, kazały jej domyślać się: „naglej odprawy w jaki piękny poranek“.

Umarła w czerwcu 1876, oplakiwana przez wielkich ludzi i przez prostaczków.

Ogłaszane w r. b. fragmenty autobiograficzne*) dają wniknąć w głąb tej niepospolitej natury.

Pisała niegdyś do swej córki:

„Bądź dobrą, słyszysz? Dobrą zawsze, dobrą przedewszystkiem!“

W pół wieku zbladła sława autorki, pozostał człowiek: człowiek dobry.

K. Bielańska.

*) *Revue de deux Mondes* r. 1926 Avril. Mai. „*Cahiers de l'Aurore Dudevant*“.

Z NAD NILU.

Przysłowie arabskie mówi, że ktokolwiek raz jeden napije się wody z Nilu, ten tęsknić do niej przestać nie może i myślał wciąż tam powraca.

Jest w tem część prawdy; może dlatego, że piękno Egiptu jest tak zupełnie inne, że żeby go odczuć i zrozumieć, trzeba nietylko oczami go chłonać, lecz i duszą przeniknąć.

Czar zaś owego zespolenia jest tak silny, że pamięć wrażeń pozostaje długo, długo niezatarta, a dołączają się do niej tęsknota i pragnienie, by one znowu powtórzyć się mogły.

Pamiętam pierwszy mój przyjazd do Egiptu. Jechałam wprost z Rivieri, po dłuższym tam pobycie, jechałam po zdrowie, którego odzyskać nie mogłam nawet w słodkim klimacie Rivieri.

Bogactwo i bujność południowej natury wywierały na mnie silne bardzo wrażenie, duszę miałam rozkołysaną precudnym, wciąż zmieniającym się obrazem roztoczy morskich i wogóle tym przewychem kolorytu słońca, nieba, gór i kwiatów, któremu na imię: Brzeg lazurowy.

Czekałam i spodziewałam się jeszcze silniejszych wrażeń od Afryki.

Tęsknotę za swemi, ból rozłąki, dał, jaka legła między mną, a niemi — miały mi one ukoić, zapełnić... Po nużacej, 4-dniowej podróży, stanęliśmy u celu.

Płaski krajobraz zarysował się na widnokręgu, a u wybrzeży — szeroko rozpostarte miasta, o egzotycznym charakterze i kolorycie.

Z Aleksandrii, bezpośrednio, jechałam do Kairu, a stamtąd jeszcze dalej trochę, w głąb pustyni.

Z okien wagonu widziałam kolejno bujną zielenią urodzajnych niezwykle pól (było to w lutym), płowe piaski, poprzerywane grupami palm; snuli się ludzie, o typach i strojach malowniczych i jakby żywcem przeniesionych z ilustracji Darc'ego z Książ Biblij.

Było w tem wszystkim swoiste piękno, ale jakies obce, jakies mało jeszcze mówiące.

Maeterlinck pisze, że nam ogólnie nie tyle brak szczęścia w życiu, ile jego świadomości, że nieraz jedna chwila szczęścia, w pełni uświadomiona, więcej znaczy, niż największe szczęście, które dusza ludzka niebacznie przeocza.

To samo da się powiedzieć o poczuciu piękna.

Tam, w Egipcie, w pierwszych tygodniach pobytu nie mogłam nawiązać bezpośredniego kontaktu duszy z otaczającą mię naturą, nie mogłam zrozumieć, na czem piękno jej polega, co główną treść jego stanowi.

Któregoś z dni upalnych byłam na pustyni, dalej, w głębi.

Dla jej uzdrawiającego, żarem płonącego tchnienia, ludzie, u jej skraju, zmienili pustkowie w pełne życia i gwaru osiedle.

Ale tak łatwo zostawić można po za sobą garść domów i willi, iść dalej, w głąb, a ukaże się oczom w całym swym surowym majestacie — ciszy, pustki i bezbrzeżnej oddali. Był zachód słońca.

Na niebie płonął stos ognisty z rozżarzoną kulą pośrodku.

Intensywność światła była tak wielka, że chmury naokoło tworzyły świetlistą aureole, która dalej w ognisto-miedzianą kurzawę przechodziła, kłębiąc się na tle nieba, co turkusem przezierało tu i owdzie.

Dalsze chmury łukiem różano-fioletowym horyzont okalały.

Po drugiej stronie wszystkie przedmioty dziwnie ciemnymi i ostro wyraźnymi odcinały się linjami. Wysmukła, strzelista wieżyczka minaretu, sztywne zarysy piramid i delikatne koronki czubów palmowych.

Surowym zwałem ciemnej zieleni kołysał się łan olbrzymich, kwitnących kłosów pszenicznych; granatową w dali stała lśniąca cicha powierzchnia uspiętego Nilu.

Tylko pustynia grała tysiącem barw i tonów.

Każdy załom wawozu, każda grań wzgórza, każde ospisko lśniło złotem, różem, ametystem...

Nagie zbrocza skał, okryły się, jakby kwiatami, a piasek błyszczał tysiącami skier, drgających pod złotą kurzawą słońca.

Czar tego zjawiska — przetwarzania się nagle dzikiego wawozu w pełną cudów, świetlną krainę, był tak nieprzeparcie piękny, że oczy oderwać się odeń nie mogły, a duszę przepęłniało uczucie zachwyty, jakie budzić może tylko prawdziwe piękno.

Kraj najśmielszych kontrastów, kraj genialnych dysonansów... snuły się myśli — bo kontrastem Egiptu jest ta przebujość niesłuchanie urodzajnej ziemi, pod zalewiskiem życiodajnej fali Nilu, dalej ujętej w ramy bezpłodnych piasków.

Kontrastem i dysonansem — a jednak to czar jej stanowi i teraz, w świetle zachodzącego słońca, tak ujawniony wyraźnie.

Przed oczami, przez porównanie, przesunęły się wizje urocz, tamtych, niedawno oglądanych wybrzeży.

Niby w melodję śpiewną i łatwo uchwytą i tak pogodnie brzmiącą i odzew budzącą, zlewały się tamte wrażenia.

A tutaj — głębsze, lecz i trudniejsze w tem pięknie były tony... bujnością życia i jego żarem także nabrzmiały, ale i ostrym zgrzytem, widniejącej obok kamienno-piaszczystej pustki, dźwięczące, — pustki, którą tak, jak w życiu, jeno światłem myśli i ogniem uczuć zapełnić można.

Symbolom Egiptu ejsz Sfinks, czyli, wedle zdania większości egiptologów, pomnik boga Ra — boga słońca. Istnieje dużo hipotez i teoryj o czasie i sposobie jego powstania, ale istnieje też wśród arabów legenda ustna.

Artysta, który rzeźbił Sfinksa, kochał w tym czasie młodą dziewczynę o cudnych oczach.

Wszelkie uczucia, ziemskie i nadziemskie, stapały się w ich czarownej, a przepastnej głębi.

Wedle koncepcji artysty, (którego imię i okres tworzenia pochłonęły wieki), bóg Ra miał postać półlwa, pół-człowieka. Spoczywa on na łapach olbrzymich, w piaskach pustyni, a wśród ludzkiej twarzy, patrzą oczy jego w bezkresną dal, z tym jedynym na świecie wyrazem i z cieniem wszechrozumiejącego uśmiechu na kamiennych wargach.

Legenda mówi, że artysta długo bardzo nie mógł oddać w kamieniu, tego, co tkwiło mu w duszy.

Ra — to słońce, a słońce — to życie, więc oczy sfinksa mają wyrażać wszystko, co jest życiem, choć zawsze tajemnym, a nierozwiązanem.

Co wieczór przychodził, znużony i zniechęcony, szukać ukojenia u stóp ukochanej.

Któregoś dnia przyszła po raz pierwszy spojrzeć na jego pracę. Byli sami. Dziewczę odrzuciło zasłonę z twarzy; zaledwie oczy jej ogarnęły go pełnem miłości bezmiernej spojrzeniem — artysta chwycił dłuto. Stał się cud, kamień ożywać zaczął — cień uśmiechu rozchylił kamienne wargi, a oczy... artysta patrzył w aksamitne głębie, co wszystkie uczucia ziemskie i nadziemskie w sobie stopiły, patrzył... a wyraz ten, jedyny na świecie, w kamieniu utrwalił.

Żarem słońca oblane, dziewczę bez ruchu długie godziny stało, dopóki ostatni raz dłuto się nie poruszyło — a wtedy, jak kwiat bez życia, na piasek upadło.

Dusza jej w oczach kamienia zaklętą została w imię Miłości i Piękna.

Zofja Grzymałowska.



Janina Brzostowska.

TRWOGA.

*Ulica, przy której dziś mieszkam,
nie słyszała twych kroków.*

*To ulica bez wspomnień, nowa, uśmiechnięta,
prosta aż do samego wylotu.*

Lecz tam, za skrzyżowaniem,

jest inna, którą szliśmy oboje

raz ostatni, zanim pożegnanie

grobem stało się miłości mojej.

Dlatego idę nią, nie patrząc prawie,

jest tak długa — zawsze mię męczy —

kostki bruków są jednakowe i szare,

— droga żalosnych udreczeń.

Trwożę się,

że przekleństwem stać mi się może smutek,

ten ból, jaki mi wtenczas zadaleś,

łzy, których ciężaru nie czujesz,

i dni moje wszystkie umarłe.

Dlatego spieszę, powracając

ku ulicy tej bez wspomnień, przy której mieszkam —

jak w ów wieczór, drozdy przed domem śpiewają,

gdy okna szeroko otwieram.

CZŁOWIEKO W I OBOJETNEMU.

Nazywasz się „nie wiem sam“ —

przychodzisz z nikąd.

Ojczyznę twą jest „tu i tam“

któregoś nie przeniknal.

Bóg twój mówi „tak i nie“

i co jest najsmutniejsze

sądzi — choć wie, że to źle —

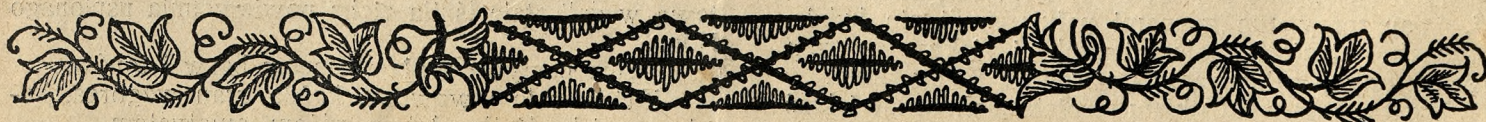
że to niedoli nie zmniejsza.

Rzeka życia — niema znaczenia —

śmierć: wszystko jedno — obojętny krok —

Jesteś jako cień,

który błaga o mrok.





BAJKI ZŁOTOGRODZKIE.

Z. REUTT - WITKOWSKA.

Z WĘDRÓWEK PO DOLE.

6



osła Gospodyni do kościoła, przed ciemny ołtarz i zapatrzyła się w czerwone światelko przed Złotym Domkiem.

Patrzy, patrzy... a wtem się jej wyda, że to już nie lampeczka ze szkła i z oliwą, ale że za złotą, przezroczystą bramą jest jakoweśi szklane morze, i że pływa po morzu piękny pałac z ognia.

A w pałacu siedzi... Któżby!? Sam wielki Pan Bóg.

Zakolątała Gospodyni do złotej bramy cichuteńko, bo się strasznie bała. Ale przez okno wyjrzała do niej taka cudna twarz anioła, że się już i bać przestała, i jakoś samo jej przedziutko powiedziało: „mój ty śliczny aniołku, a jakby to można rozmówić się z Panem Bogiem Dobrodziejem?”

Anioł się tylko uśmiechnął w odpowiedzi — uśmiechnął się tak dziwnie jakoś — i długo, że ani się Gospodyni spostrzegła, że siedzi w malutkiem czółenku, niby na okruszynie korka, i jedzie prościutko do ogniowego dwora. Rusza się to morze, huśta, niby lepkie i całe różowiućkie, jakby kto wodę z sokiem wiśniowym potrochu wymieszał. Tak się jakoś sennie widzi Gospodyni... a tu już i brzeg przed nimi... wyspa taka okrągłutka, jakby kto okroił, obrzeżona srebrem, a w pośrodku pałac ognisty cały się chwieje i mryga. A w pałacu Pan Bóg.

Jak tam się Gospodyni dostała, to już opowiedzieć nie umie, tylko wie, że Pan Bóg, zupełnie siwiutki, spytał jej całkiem po ludzku: „A czego chcecie, mateczko?” Ale nijak się nie Gospodyni odpowiedzieć nie darzy, tylko westchnie sobie, jakby na podniesieniu i zapatrzy się w Pana Boga-Staruszka, jakby w tę hostję.

Byłaby i na twarz padła, na ziemi, ale ją anioł, ten sam, co ją wioził, zatrzymał i wielkim jasnym głosem odpowiedział za nią: „Za synem przyszła prosić, Panie Boże!” A wtedy tysiące niewidzialnych głosów odśpiewało z drgających ścian pałacu: „Za synem przyszła — za synem” — tak, jak organista księdzu przy sumie odśpiewuje, tylko dużo ładniej.

„A czego wam dla syna potrzeba, mateczko?” „Czego wam trzeba?” — zagadał znowu ogromny chór. „Czy żeby wojakiem był sławnym i całemu światu panował?...” „Żeby światu panował?”

Nic odrzec nie śmie Gospodyni, ale zda się jej, że tam, za bożym tronem, rozstąpiła się ściana i ukazała inne pokoje, ziemskie, pełne złota i drogich kobierców. Syn jej chodził po nich ogromnym krokiem, u nóg brzęczały mu ostrogi, a z pod ostróg, jako stąpił, krew płynęła z ziemi, kobierce barwiły się krwią bogato. Ale on miał twarz jakowąś pyszną i posępną.

„O nie, nie! tego mu nie daj, Panie Boże!” zawołała Gospodyni w głos. Zamyślił się trochę Pan Bóg i dalej pytał. „Czy żeby wszystkie przeczytał księgi i poznał wszystkie mądrości ziemi?...” „Żeby poznał mądrości ziemi?”

Gospodyni patrzyła już w tajemniczą ścianę, bo tam królewskie pokoje zamieniały się w sklepioną

komnatę, pełną od podłogi, aż po sufit, grubych, ciężkich ksiąg, a na stole stały naczynka ze szkła, pokręcone, niby gąsiorki przedziwne, pełne różnych kolorowych nalewek i proszków. Za stołem siedział jej syn, blade bardzo i smutny, patrzył w stos papierów, pokreślonych czarnymi znaczkami... W rękę miał pióro gęsie. W okno zajrzało złote, jasne słońce i roziskrzyło śniegową topiel za oknem, posłało tysiące kolorowych szkiełek. A w szybę zastukał, ćwiekając żałośnie. głodny, nastroszony z zimna wróbelek. Uczony wstał prędko — i spuścił ciemną zasłonę. Twarz miał mroczniejszą od mroku, co zasnuł komnatę.

„O nie, nie! Panie Boże, nie!” — zawołała Gospodyni. — A wtedy Pan Bóg zamyślił się jeszcze bardziej i spytał zwolna: „Czy żeby piękny był i dowcipny tak, aby podobał się wszystkim ludziom?” „Aby podobał się wszystkim ludziom?”

Gospodyni ujrzała znów bogate komnaty, i króla, i rycerzy, i panie — i młodego lutnistę, pięknego... chyba jeszcze piękniejszego, jak ten anioł, co ją tu przywiózł. Śpiewał jakąś dźwięczną piosenkę, którą po każdej zwrotce rozspypywał na paciorki śmiechu. A potem klaskano i ścisłano mu ręce; panowie dali wieniec ze złotych listeczków, a panie bardzo grzecznie chwaliły na prześcigi. — Lecz kiedy się w końcu rozeszli, grajek rozejrzał się wkoło ze wzdargą i sam dla siebie chciał wygrać piosenkę... Ale mu struny pękały jedna po drugiej. Wtedy skurczył się, zszarzał, ziewnął — twarz mając pełną drobnych zmarszczek, jakby staruszczyk jakiś.

„O nie, i to nie, Panie Boże!” — „Więc czego chcesz kobieto?” zapytał Bóg, nibyżto niecierpliw... „Czego chce, kobieto?” z pośpiechem powtórzył chór.

„Chcę, żeby był dobry i szczęśliwy...” zaszepotała lekliwie Gospodyni. „Dobry i szczęśliwy... dobry i szczęśliwy...” odszeleścił chór, i zaraz jęło się wszystko kręcić przed oczyma kobiety prędko, prędzej coraz — aż i Pan Bóg zniknął, i głosy powietrzne zmilkły. Tajemnicza ściana rozciągnęła się w przestrzeń, ukazując długą, prostą drogę pośród pól i lasów, całą zaróżowioną, niby od jutrzeńki. Zaczęła nią Gospodyni, wcale z kolan nie wstając, iść — iść —

Szła długo. — Aż oto poznaje Mękę przy drodze, poznaje parkan probostwa, i chatę Przyguły i jego brata, Piotra, i dużo, dużo zagród; wreszcie i swoją własną poznała. Przede drzwiami siedzi jej syn i struga z buczyny figurkę dziwną: Dziecię Jezu na Krzyżu rozpięte, w koronie z ciernia; i z gwiazd, i z tego kwiecica, co po łąkach rośnie; a radość jasna i moc idą od Dzieciątka.

Pod bosemi nogami rzeźbiarza piasek i żwir; niebogię wróbleta wyjadają porzucone im okruszyny chleba i krają nad głową szarym wieńcem temu jej synowi. — Nad głową, ptaki, nad ptakami obłoki, a w obłokach zasię Gród, niby, z promieni zbudowan.

Ludzie mijają rzeźbiarza z pogardą — bo to ani na sumie, ani w karczynie nie bywa, niesamowite jakieś! Do niczego jest, a może i gorzej... bo różnie powiadają! Ale on patrzy ku nim z uśmiechem; gdy zaś w górę obróci źrenice, a Gród Złoty napotka, oczy ma takie słoneczne — słoneczne —



CECYLJA WALEWSKA

PANNA KAMILCIA

Historja prawdziwa.

Podala mi go z tem swoim plochliwym spojrze-
niem, które szukało, a nie mogło znaleźć punktu
oparcia.

Patrzyłam na nią pełna niepokoju, jednak nie prze-
czuwając jeszcze blizkiej katastrofy.

Wpadła odtąd w dziwny nastrój. Przestała śmiać
się zupełnie. Pracowała jak dawniej, ale w jakimś
obcym dokonywanej robocie zapamiętaniu, w oder-
waniu się od wszystkiego, co było zjawą najbezpo-
średniejszą, w zachłannem skupieniu na jakimś jednym
punkcie uświadomień, dokoła którego, jak w zaklętym
kręgu, wirowała zbity w nierozzerwalną masę cała
treść duszy, zostawiając odruchom nawyk do zme-
chanizowanych, rutynicznych zajęć codziennych.

Zastawałam ją zgiętą, w pozie niemal katalep-
tycznej, nad wanienką, w której ręce bez kontroli
wzroku zmywały talerze i szklanki, a nic nie uległo
stłuczeniu.

Poruszała się za każdym mojem wejściem, pro-
bowała składać usta w dawny uśmiech, ale drętwia-
ły w jakimś bolesnem skurczu, który nadawał twa-
rzy hieratyczny spokój. I tylko oczy zaczynały szu-
kać plochliwie zatraconego punktu oparcia.

Coś przerodziło się w niej. Wstawał jakiś nowy,
obcy człowiek, pełen zapewne podziwu dla rzeczy
niezbadanych w głębi siebie, dla cudu tej nagłej prze-
miany, dla misterjum tego ruchu, którym dokoluśka,
dokoluśka wirowały myśli, zbite w jedną treść uparta,
ciągła, niezmierna.

Codzień mówiłam jej:

— Ubierz się. Wyjdź na spacer.

Dziękowała. Nie chciało jej się przebierać.
W czerwonej chustce na głowie, jak od rana, siadała
na balkonie, patrzyła w przepaść ulicy na tłum, żadny
chleba i twarz jej nabierała wyrazu bolesnej rozpa-
czy. Czasami podnosiła ręce do góry, wzywając jakby
ratunku, a może błogosławieństwa dla tego miasta
głodnej, sponiewieranej nędzy i trwała tak chwilę
w stężalem zapamiętaniu, żeby wreszcie oprzeć gło-
wę o balustradę, zamknąć oczy i patrzeć już w siebie
tylko.

Któregoś dnia poprosiła mnie o książkę. Chciała
przeczytać historję powstania styczniowego, zoba-
czyć, czy nie znajdzie tam nazwiska dziadka. Innym
razem zażądała czegoś o Polakach we Francji. Może
tam będzie coś o pradziadku markizie? Może odszuka
imię jego?

Pograżała się w książkach do zapamiętania, lecz
po pewnym czasie wypadały jej z rąk, a oczy albo
wlepiały się w jeden jakiś punkt nieuchwytny, albo
biegały pierzchliwie po powierzchni rozciąglej zjawy,
nie mogąc uchwycić punktu oparcia dla siebie.

Na małym stoliku w jadalnym pokoju leżały zwy-
kle czasopisma bieżące — gazety, miesięczniki, tygod-
niki. Wzięła którejś przedmierzchowej godziny kilka
z nich do przejrzenia.

Siedziałam w pokoju u siebie, zajęta przygotowy-
waniem notatek do jakiegoś wykładu, gdy oderwał
mnie do roboty nagły szelest. To wpadła Kamilcia.
Oczy miała rozwarte szeroko w zdumieniu, w osłupie-
niu. Zaciśnięte palce rąk trzymały mocno numer jak-
iejs polskiej ilustracji. Wargi jej zbiełały. Ramiona,
mocno podniesione, stężały w nienaturalnie naprężo-
nym ruchu.

— Już wiem, proszę pani... już wiem wszystko.
Mój pradziadek, markiz, miał na imię August Stanisław.
To było sto lat przedtem, zanim ja się urodziłem —
akurat sto lat. A mój dziadek, ojciec ojca, umarł na
Syberji w tym samym roku, kiedy ja się urodziłem.
Więc to znak dla mnie — spadek po nich... najpierw
wielka fortuna, potem ja wolna, cała Polska wolna...

Ilustracja wypadła jej z rąk na stronie pełnej ry-
cin z jakiegoś dramatu, osnutego dokoła wydarzeń na
dworze Stanisława Augusta w ostatnich latach jego
panowania. Ucharakteryzowana na markizów i marki-
zy szlachta polska przewijała się w lśniących salonach,
walcząc o palmę pierwszeństwa w przepychu strojów
z butnemi kontuszami.

Kamilcia wyprężyła się. Ręce jej wskazały bez-
dnie.

— Tam moja śmierć i moje życie. Muszę ich od-
szukać. W Polsce staną się rzeczy wielkie, i ja to
sprawię... Głos jej brzmiał mocno, ale z jakimś roz-
wlekłym, nosowym przydechem. Ręce skrzyżowały
się i rozkrzyżowały w hieratycznym odruchu. Prze-
szła po rzuconym na ziemię tygodniku, mówiąc
w przestrzeń i coś chwytając poza sferą zwykłego
widzenia.

Letni mrok zapadł. Mąż mój wrócił z dalekiego
spaceru nad rzeką. Podala nam herbatę, sunąc w tę-
pem milczeniu po smudze światła, która kładła się od
palnika w jadalni na korytarz kuchenny. Odeszła
z tym samym ruchem lunatyczki, która budzi się do-
piero na dźwięk swego imienia.

Na placu przed halami zapalono latarnie. Jaska-
we światło lunęło w otchłań nocy, gubiąc się u pro-
gów halnych podcieni. W chwilę potem coś zaturko-
tało. Porwały się jakieś głosy. Nie słyszałam ich, za-
czytana w telegramach wojennych.

Nagle wpadła Kamilcia. Wbrew zwykłej swojej
powściągliwości, schwyła mnie za rękę i pociągnęła
do okna kuchennego.

Pod latarnią stał wóz z mięsem. Czerwone, krwią
ociekające ćwierci zabitych wołów krzyczały roz-
pacznie o pomstę nad ludzkim rozbojem. Ale nikt tego
nie słyszał. Jakieś ręce przerzucały je z dużego wozu
na parę mniejszych, ręcznych wózków. Kilka sylwetek
uwijało się dokoła. Żyd witał tęgiego mieszczanina,
zapewne rzeźnika, który dał znak chodzącemu pod
murem wartownikowi, żeby natychmiast otworzył
wrota hal.

Sunął wózek za wózkiem w głąb czeluści, jednym,
słabym płomieniem od wnętrza oświetlonych, a Ka-
milcia, wpatrzona w krwią ociekłe tułowia, lby, boki
zabitych zwierząt, wychyliła głowę za okno i krzy-
czała:

— Już wiem, już wiem... spiszek. Zatruli wszystkie
zwierzęta w Polsce. Teraz... ich krwią... trupami... za-
trują ludzi. Żeby nie było Polski... Żeby zostały kamie-
nie i goła ziemia... Zrozumiałam. Żyd chrześcijanowi
podał rękę. Razem... w ciemnościach... zaprzysięgli
zgubę...

Podrzuciła ręce do góry, i ręce te zeszytywniały.
Wygięła się naprzód tak, że całą siłą musiałam ją
schwyć i odciągnąć od okna, skąd w przepaść ulicy
rwał ją mrok mistyczny.

— Spisek... zaprzysiężenie... na zgubę Polski... trucizna... wiem... rozumiałam...

Głos jej brzmiał, jak tępy dzwonek. Oczy patrzyły w przestrzeń nieruchomie. Wargi, ramiona, ręce stężyły w odruchu rozpaczki. Była, jak ciche, kryształowe źródło, którem od wewnątrz szarpnęły leje podziemne, a z zewnątrz pokryła skorupa lodowa.

Nazajutrz rano wezwała ją do swego pokoju i kazała usiąść przy sobie.

— Słuchaj, Kamilciu, ja się boję, że cisza w tym domu jest zła dla ciebie. Trzeba... konieczne trzeba... żebyś poszła trochę między ludzi. Pojutrze święto. Mąż mój wyjeżdża. Ja sobie poradzę. Zrobisz mi dzień przedtem obiad i pojedziesz do pani Oli. Dawno tam nie byłaś...

Pani Ola... Jedna z tych siłaczek Żeromskiego, które wypielegnowały ostatnie pokolenie przed wojną i nazaczyły je stygmatem walki o wolność. Pani Ola — nauczycielka w podmiejskiej szkole ludowej. Żyła byle czem i byle jak. Co miała, rozdawała na książki o bohaterach polskich i na ciepłe obuwie dla biednych dzieci. Ola — duch, który miał ciało swoje w poniewierce. Pięć godzin snu. Pięć godzin pracy zarobkowej. Reszta — aż do schrypnięcia, aż do niemoicy w służbie oświaty pozaszkolnej, w rozkawałkowaniu się na części ofiarne między uczniów, uczennice swoje i ich rodziny. Każdemu z radą z pomocą. Każdemu — siostra, matka, opiekunka. Święta kobieta. „Święta kobieta“ — „heilige Frau“ — tak nazywali Niemcy swoje wielkie ofiarnice i czołem bili przed nimi, a cześć mieli dla nich nawet i u nas w Polsce.

To pani Ola przyprowadziła do mnie kiedyś Kamilcię. Opowiedziała mi pocichutku jej historię. Zdradziła tajemnicę, że cztery lata ostatnie była w służbie u fabrykanta-żyda, gdzie ją szanowano i wszyscy byli dobrzy dla niej, ale...

Pani Ola zajmowała się nią, odkąd śmierć matki rozbiła rodzinę, i każde z dzieci musiało szukać swojej własnej drogi. Uczyla ją i miała do pomocy w swoim małym gospodarstwie, na siebie i staruszkę, ojca swego. Czemu odeszła od niej? Nikt nie wiedział. Któregoś ranka... bez pożegnania... zabrała ręczny swój węzełek i poszła.

Cztery lata nie widziała jej pani Olga. Aż kiedyś przypadkiem spotkały się na ulicy. Kamilcia z trudnością wybelkotała, że jest u żydów, którzy ją szanują i są dla niej dobrzy, ale mężczy się tam, chciałaby odejść, a nie wie, co z sobą zrobić.

Pani Ola zaciągnęła ją do mnie i już została.

— Więc dobrze, Kamilciu, w to święto pojedziesz tam na cały dzień. Opowiesz mi o pani Oli...

Spojrzała na mnie ponuro, tępo, z jakimś niezwalczonym uporem.

— Dlaczego tak patrzysz, Kamilciu? Czy nie masz ochoty odwiedzić swojej opiekunki?

Zmarszczyła brwi. Oczy jej nabrały wyrazu zaciętości, którego przedtem nie miały nigdy, nawet przelotnie. Zdawało się, że walczy z sobą, chce coś powiedzieć, a nie ma odwagi. Wreszcie głucho, jakimś obcym, tępym głosem:

— Nie pojedę. Wyrzuciła mnie z łóżka mego dla swego brata - k u p c a. Przyjechał w nocy... niespodziewanie... więc... mnie dla niego... Kazała mi położyć się przy sobie, ale nie chciałam. Na krześle przesiedziałam do rana i — jak się rozwidniło, wyszłam...

Schowała twarz w ręce i zaczęła szlochać. Przyniosłam jej wody. Kazałam posiedzieć cichutko. Uspokoila się. Powtarzała jednak uparcie:

— Nie pojedę... nie chcę... za nic...

IV.

Rozsrebrzył się, rozpylił słońcem nazajutrz wesoły ranek majowy. Błyszczały rosą dachy kamienic, paliły się białym płomieniem szyby okien, wyciągał do światła gałęzie kasztan na obcem podwórku.

W powietrzu — nad dachami — zawisło dziwne zjawisko. Ni to wielka, złotawo-żółta gasienica na linach z chorągiewkami, które ginęły za węglami kamienic. Ni to wygięta podłużnie, skurczona ku wnętrzu bania, u spodu której — przy cichym wietrze — kołysała się łódź z balastem.

— Balon na uwięzi! — Obserwator! — krzyczała ulica, podziwiając nieznane jeszcze wojenne zjawisko.

W słońcu — z naręczem kwiatów, które przyniosła z miasta, stanęła na balkonie Kamilcia i wpatrzyła się w złotą, błyszczącą, podłużną banie.

Coś rodziło się i dojrzewało w głębinach jej duszy. Jakieś ważne, niezłomne postanowienia. Jakieś przysięgi, rzucane niebu, słońcu. Jakieś zebrane w sobie i zaryte mocno, jak ziarno w rodną ziemię, śluby duszy. Jakieś doniosłe — niby wić przeznaczenia — zadania, wskaźniki.

Spokojnie w jeden punkt zbieżny patrzyły jej oczy, gdy stanęła przedemną, nie widząc — zdawało się — mnie i tego, co było przedemną, za mną. Powoli, hieratycznie podniosły się w górę ramiona jej i ręce. Tak już zostały. Po chwili dziwnie — jak gdyby z niewidomych głębin — rozbrzmiał jej głos.

— Znak dla mnie. Przemówiło niebo tym żółtym, tam w górze, językiem. Już wiem, wszystko wiem. Mam zbawić Polskę — ja, biedna dziewczyna... Krew dziadka i ojca... jak oni... Muszę... czeka na mnie lud.

Nazajutrz kupiła pęk rumianków, zrobiła duży, gruby wianek, rozplotła włosy — płaszcz popielatozłoty, aż po kolana — włożyła kwiaty na głowę i z wiazanką w ręce stanęła przed balustradą balkonu.

Na placu targowym wirowało mrowisko ludzkie. Jedni przystawali przed splądrowanymi kramami, na których majaczyły resztki towaru. Inni szli, miaili się, krażyli bez zatrzymania. Niemcy, którzy o świcie zabrali na wozy z hal wewnętrznych wszystko mięso, jarzyny, mąkę, kaszę, słoninę, masło, żeby je wysłać do rodzin swoich, — teraz przyszli zaopatrzyć się w potrzebne dla miejscowych swoich gospodarstw produkty. Jeżeli pruską pikelhaubę przy kupnie jakiegoś drobiazgu wyprzedziła służąca polska, wydzierało jej towar bez ceremonii, odpychano kułakiem w bok i — nie zapłaciwszy — niesiono w triumfie łup zdobyty. W jakimś miejscu zrobiło się zbiegowisko. Kobieta ciężarna niosła koszyk z kilkoma mizernymi paczkami ze sklepu komitetowego. Policjant pruski kazał je sobie pokazać. Kobieta w strachu, że ją obrażuje, zaczęła uciekać. On za nią. Dopędziwszy, lunął raz, drugi w twarz i wyrzucił całą zawartość kosza w brudną kałużę. Zrobiło się zbiegowisko. Starzy, młodzi, ale nikt nie zaprotestował. Kobieta, szlochając, usiłowała zebrać rozrzucone paczki. Prusak szturchał ją, wreszcie kopnął w tył kolaniem i odszedł.

Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

26

Dusza francuskiego ludu brała ją wówczas na skrzydła swych rojeń najśmielszych, marzac, w lotnej „gadce“ gminnej, że ta, co tyle już sprawiła, dokona dawno czekanej reformy Kościoła i sprowadzi na ziemię Królestwo Boże... A tymczasem wpoprzek jej zbawczej woli położyła się już nieubłagana zaporą...

„Co za absurd: to przeciw królowi Francji walczy teraz Dziewica! Anglja jest tu sprawę drugorzędną, dość łatwą. Rzecz główna — to pokonać Karola, jego słabość, inercję, małoduszność...“*)

W walce tej dwór nie przebierał w środkach: postanowiono stworzyć konkurencję wybrance niebios; a nastęrczyła się właśnie wizjonerka (lub może tylko oszustka), Katarzyna de La Rochelle, protegowana przez brata Ryszarda. Utrzymywała ona, że co noc widuje „białą damę“, która jej nakazuje objeżdżać „cne miasta“ i obwieszczać wszędzie przez heroldów królewskich, by składano w jej ręce wszystko złoto, srebro i kosztowności, na poratowanie państwowej szkatuły. Podejmowała się nawet wskazać wszelki skarb ukryty. Skoro ta akcja nie wydawała jakoś rezultatów, śmiała awanturnica poczęła obiecywać, że uzyska, przez swą własną interwencję dyplomatyczną, trwały pokój z Burgundją...

Joanny nie wytraciło to wszystko z równowagi. Doradziwszy dobrodusznie swej „rywalce“, by wracała zaraz do męża „gospodarzyć“ doma i dziatki karmić, — nie ukryła później przed nikim swego przekonania, popartego powagą „Głosów“, że „w poczynaniach onej Katarzyny niemasz nic, okrom nicości i szaleństwa“.

Zdaje się, że w te nadzwyczajności niebardzo wierzyli ci nawet, co chcieli się niemi posługiwać. Przedsięwzięcie konkurencyjne zawiodło: Katarzyna de La Rochelle nie odegrała żadnej roli, choć jeździła czas jakiś z dworem, lub za wojskiem i narzucała się opinii.

Druga wizjonerka, zwana La Pierromne, młodzianka dziewczę, z Bretanii rodem, skromniejsza a szersza daleko, była zawsze z największym podziwem i oddaniem dla Joanny, czemu złożyć miała w przyszłości świadectwo imponujące.

Z końcem października książę d'Alençon, idąc na wyprawę do Normandji, prosił króla, by mu pozwolił zabrać ze sobą Joannę, albowiem:

„Pójdzie z nią siła takowych, co ostana doma, jeźli jej braknie“.

Odmówiono mu jednak — przydzielając ją równocześnie do ekspedycji d'Albret'a przeciw kilku, niezbytym jeszcze, twierdzom na Loara. Pod zacięcie bronionemi murami St.-Pierre-le-Moustier, odżywa rycerz-dziewczyna, jak kwiat, do wody włożony. Po kilku dniach obleżenia, prowadzi do szturm — lecz gesty ogień zmusił zaraz Francuzów do odwrotu. D'Aulon, ranny w nogę, widząc z przerażeniem Dziewicę, trającą na niebezpiecznym stanowisku, w otoczeniu kilku jedynie ludzi, — ostatkiem sił dosiada konia, by jej rzucić ostrzeżenie:

— „Co czynisz tu sama? Uchodź, jako inni!“

— „Jam-ci nie sama — odpowiada mu głos, jakby z nadziemskich wyżyn — przy mnie stoi 50 tysięcy moich ludzi i nie ruszą się, póki nie dobede onego grodu!“

I znów uderzając w nieodparty, orleański ton — woła donośnie:

— „Do faszyn! Do broni! Za mną!! Miasto nasze!“

W godzinę później twierdza była w ręku Francuzów. Zdobycie drugiego punktu, La Charite, okazało się trudniejszym. Nic dziwnego — brakowało bowiem materiału oblężniczego, żywności i pieniędzy. Joanna musiała sama starać się o to wszystko, kwestując po miastach okolicznych (najwięcej, jak zwykle, dał Orlean) — choć przedsięwzięcie to nie z jej inicjatywy wyszło. Nie wystarczyła tu niesłychana jej brawura: trzeba było dłuższego oblężenia, zaś brak poparcia od króla zadecydował o jego losie. W połowie grudnia, Dziewica Francji, zdradzona przez tego, komu dała koronę, drugi już raz odstępowała z niczem od twierdzy wroga...

W Méhun-sur-Yèvre przyjmuje ją znowu na swę łono dwór, tryumfujący cichaczem, w nadziei, że nauka w las nie pójdzie. Włożono wiele starań podówczas, by ją uspokoić i oblaskawić — a przecie pozostaje ona zawsze, w doli i niedoli, równie obcą temu środowisku, twarzą, nieprzejednaną...

Cóż właściwie było z nią robić? Nie sposób przecie bić się ciągle... Stała zbyt blisko świętej ampulki w Reims, miała zbyt wiele godności i dumy, niczego nie żądała**) — dla siebie! W innych bowiem żądaniach była zachłanna, nieubłagana, aż do okrucieństwa. Ta czarnowłosa dziewczyna w białej zbroi, na płochym dworze, wtulonym znów rozkosznie w bezpieczne, miękkie gniazdko — to nieustający wyrzut sumienia, wiecznie bezsenne pytanie: „Ty spoczywasz? Gdy jeszcze depce twą krainę stopa najeźdźcy?“

Jakże zaspokoić tę opętana? „Czego politycy najmniej lubią — to dusz bezinteresownych — gdyż niewiadomo nigdy, od jakiego końca je brać“*) Karol próbował teraz brać ją pochlebstwem, zbytkiem — zamknąć w złotej klatce. Nie skapiono jej szat ze złotogłowiu, rumaków wielkiej krwi, rynsztunków najprzedniejszych, cennej broni, ni klejnotów. Kłaniano się jej nisko, szlacheckie panny przydano do obsługi, otoczono świtą iście książęcą. Była jeno raczyła spocząć wreszcie i innym dozwolić spoczynku!

29-go grudnia odbyła się ceremonia nobilitacji całej rodziny bohaterki — nietylko w linii męskiej, lecz i żeńskiej, co było już przywilejem szczególnym. Herb, zwany „Du Lys“ — przedstawiał koronę, podtrzymywaną przez nagi miecz, otoczoną trzema kwiatami lilji. Akt ten wręczony jej został osobiście przez króla. Na zapytanie: czegoby jeszcze pragnęła — poprosiła jedynie o uwolnienie od danin wszelkich swojej wsi rodzinnej.**)

Lecz to wszystko jej nie przekupiło. „Po powrocie z pod La Charité — pisze H. Martin — nastają dla Joanny miesiące takich mak, jakich żadne języki świata nie zdołałyby wyrazić. Czuć, że się nosi w sobie zbawienie całego plemienia... że Bóg nas popycha, a ludzie trzymają w okowach!...“

*) G. Hanotaux.

**) Do XVIII w. na karcie ksiąg podatkowych, przeznaczonej dla Douverney, wpisywano tylko słowo: „La Puelle“.

IX. Na dno...

Jakże boleśnie być musiało wspominać promienne czasy chwały, gdy w styczniu 1430 r. wierny Orlean przyjmował swą wybawicielkę ucztą wspaniała! Wszystkie ucztę świata, całą nawet wdzięczność najdroższego miasta byłaby oddała „za jeden oddech tamtej godziny“...*)

Tam jednak czuła się najbardziej swojsko, tam wiodocześnie pragnęła żyć w przyszłości, skoro zakupiła wówczas na splaty dom w śródmieściu**). Prawdopodobnie myślała raczej o zapewnieniu rodzinie siedziby wśród ludzi, tak sobie oddanych — coraz częściej bowiem w owym okresie wspomina o swoim rychłym końcu...

Z pierwszym podmuchem wiosny, Filip burgundzki, deklarując się już ostatecznie przeciw królowi, poczyna zagrażać Szampanji, którą mu Anglicy świeżo „darowali“**). Nie do Karola VII, lecz do Joanny zwracają się o pomoc przerażeni mieszcianie Reims, drżąc, by im nie wypadło drogo zapłacić teraz za swój entuzjazm przy koronacji.

„— Nie zaznacie oblężenia — zapewnia ich Joanna przez swego herolda***) — jeśli napotkam nieprzyjaciół wasze. Już ja ich zniewolę przywdziać ostrogi! Cale was nie opuszczę, póki żyję“.

Nie były to cześć słowa.

Z końcem marca wymyka się dziewczica od dworu, z kilku tylko rycerzami i kapelanem, pod pozorem bla-

*) Żeromski, „Popioły“.

***) Cena miała być uiszczana ratami w ciągu 59 lat.

*) Podobnie, jak pan Zagłoba darował królowi szweciemu... Niderlandy!

***) Pismo to nosi już własnoręczny jej podpis, niewprawnie nakreślony.

hej jakiejś wycieczki. Zbyt dobrze poznała już króla i jego otoczenie, by się ludzi jeszcze, że potrafił pociągnąć go za sobą — a jej miejsce nie tu było. Zaiste „Karol VII i Joanna d'Arc wypełniali oboje swe przeznaczenia: ona szła ku śmierci, a on ku zwycięstwu — te drogi się rozchodzą“... ***) Wiedząc to dobrze, marzyła już pewno nieraz o angielskim pocisku, celniejszym, niż dwa poprzednie.

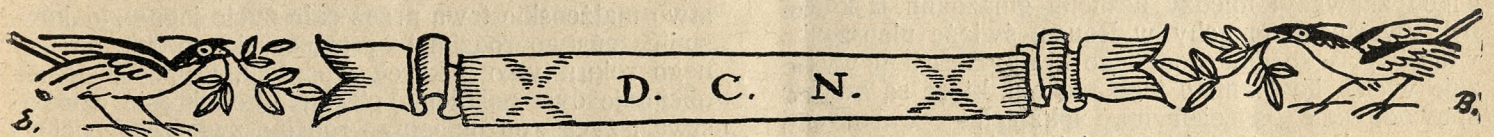
Lecz niebawem dowiedzieć się miała, że inny jej los pisany. Błądzącej samotnie po obronnych wałach Melun (które właśnie poddało się królowi) — objawiły „Głosy“, że będzie pojmana od wrogów swych przed św. Janem... Zrozpaczona, błagała o rychłą śmierć raczej — lecz obie ukochane jej święte nie mogły nie zmienić w niezłomnych boskich wyrokach.

I teraz, czując nad sobą straszliwe widmo niewoli, pracuje około zrzucenia jarzma z równym oddaniem, jak napoczątku — co więcej, niemniejszym natchnioną jasnowidzeniem.

Filip „Dobry“, wznawiając już kroki nieprzyjacielskie, potrafił jeszcze tumanić Karola VII nadzieją zjazdu w Auxerre i pokoju. Otumanił nawet go do tego stopnia, że ten przyrzekł wydać mu miasta Soissons i Compiègne, dwa główne wówczas francuskie punkty strategiczne. Były to bowiem najsilniejsze twierdze na linii, którą należało koniecznie mieć w rękę, aby ustalić komunikację pomiędzy Flandrją a Paryżem. Mogły one również bronić przystępu do Szwajcarii...

Król zdawał się nie pamiętać o tem wcale, jak gdyby mu się nie chciało poprostu poświęcić tym sprawom ani chwili uwagi. Za to Joanna rozumiała ich doniosłość tak dobrze, jakby polityka i wojna weszły jej w krew od długich lat.

***)) G. Hanotaux.



JANINA MASZEWSKA - KNAPPE.

TAJNIKI ŚWIATA ZWIERZĘCEGO.

4

Ja eckel opowiada ciekawy system kształcenia młodych u tych samych nurków. „Początkowo rodzice karmią sami swoje pisklęta, do ósmego dnia ich życia. Od tego dnia zaczyna się kształcenie. Samiec, trzymając rybę, przepływa kilka razy przed malcami, którzy chcieliby od razu chwycić żywność — nie daje im jej i zanurza się z rybą do wody, aby je zmusić do pływania za nim. Ponieważ są jeszcze lękliwi i mało zręczni, pokazuje im żywność zdaleka i woła głośno: „kuni, kuni“. Malcy rzucają się wtedy ku niemu i przepływają znaczną przestrzeń; najlepszy pływak otrzymuje rybę w nagrodę“. Trudno przytaczać dużo przykładów, obserwacje jednak przyrodnicze dawno stwierdziły, że silny łańcuch wiąże w rodzinach ptasich rodziców z dziećmi i że stały udział we wszystkich czynnościach umysłowych, ścisła solidarność wzruszeń, myśli i pragnień, tworzy z rodziny ptasiej organizm duchowy, indywidualny i tak górujący sentymentem swym i stopniem rozwoju nad innymi istotami z drabiny istnień, że mimowoli przykuwa do siebie myśl, nasuwa różne po-

równania i refleksje, i poświęciłam im na tem miejscu, wskutek tego, więcej czasu i miejsca, niż innym istotom.

Wśród mnóstwa różnych, bardzo fałszywie urguntowanych, poglądów ogółu ludzi, co do świata zwierzęcego, a zwłaszcza ich życia wewnętrznego, duchowego i społecznego, góruje jeden — o małej inteligencji ptasiej, o t. zw. pogardliwie „ptasim mózgu“. Tymczasem, obserwacje naukowe życia ptaków wykazują naogół wręcz przeciwnie.

Nietylko miłość i wierność par małżeńskich ptasich, wykazuje taki poziom uczuć — na jaki rzadko stać jest człowieka, gdyż u ptaków samce, porzucające swe samice po złączeniu, są tylko te, które należą do gatunków, zdecydowanie mniej inteligentnych, ale cała budowa rodziny, budowa społeczeństw, życie ich towarzyskie, systemy, zwłaszcza wychowania młodych, dowodzą wysokiego poziomu umysłowego, co więcej, wykazują ciągłość myślową z pokolenia w pokolenie, poprostu tradycje. Gdyż, świadomość zbiorowa, nie może odznaczać się jednością, tak daleko

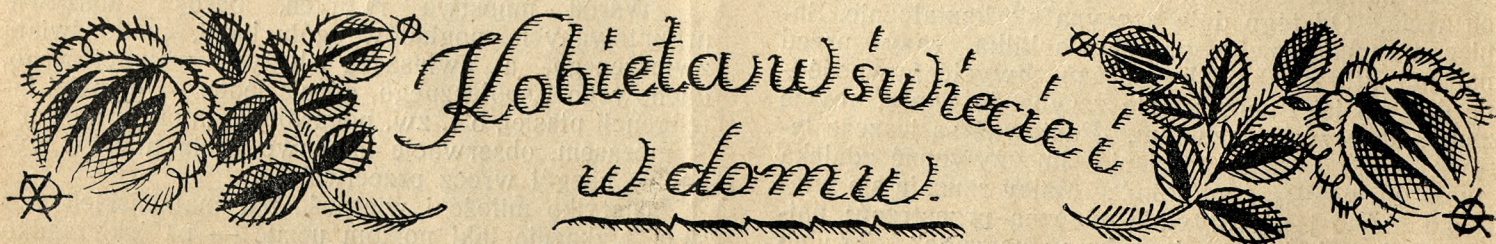
posunięta, bez pośrednictwa pewnej ciągłości wspomnień. Nauki, dawane dzieciom przez rodziców, udzielają tymże dzieciom doświadczenia, nabytego przez rodziców, t. j. bezpośrednich ich poprzedników. Widzimy często, że zmiany w budowie gniazd lub taktyce wojennej, wymyślone przez jedno pokolenie, utrwalają się w drugim pokoleniu. Kuropatwy mają zwyczaj ubezpieczania się za pomocą warty. Otóż ich młode, już w pierwszym roku swego życia, oddają się tej czynności pod kierunkiem rodziców. W ten sposób, przestroga o niebezpieczeństwach, przechodzi od starych do młodych. Dzieła ornitologów obfitują w opisy taktyki ptaków wobec niebezpieczeństwa i przekazywania nabytych doświadczeń młodym pokoleniom. Stwierdzają oni, że moc faktów z życia ptaków dowodzi, że wiele ich czynności, tak dokładnie odpowiadających potrzebom, płynie z osobistej ptasiej wynalazczości, przechodzącej potem z pokolenia na pokolenie za pomocą bezpośredniego nauczania. Np. kruk, dla rozbicia twardej skorupy mięczaka, wznosi się z nim wysoko i rzuca go z góry na kamienie — tego sposobu uczy swoje dzieci, gdy zaczynają już fruwać. W taki sam sposób stopniowo udoskonała się i budowa gniazd. Wiadomo, że doskonałość gniazd odpowiada wiekowi osobników, które je budują. „Obserwując uważnie — mówi Leroy, widzimy, że gniazda ptaków młodych są niezgrabnie, niedokładnie budowane i źle umieszczone. Często nawet młode, niedoświadczone samiczki noszą jajka gdziekolwiek bądź, bez żadnej przeczności“. Nietylko jednak wiek budowniczych stanowi o różnicy między gniazdami. Różne osobniki tegoż samego gatunku budują rozmaicie, odpowiednio do zdolności wynalazczych i zręczności wykonania, oraz okoliczności zewnętrznych i tradycji, panującej w danej miejscowości. Pouchet zauważył między licznymi gniazdami jaskółek, pokrywającymi gmachy w Rouen, świeże ulepszenia, właściwe tylko gniazdom tego kraju. Brehm wykazuje wielką ilość zmian tego rodzaju, które są zwykle spowodowane specjalnymi, lokalnymi warunkami i z powodu swej praktyczności, zaprowadzone na mniejszej, lub większej przestrzeni. Hypotezę nauczania poglądowego, przechodzącego ze stopniowym postępowaniem z pokolenia na pokolenie, popierają ogromnie owe różnice w budowie gniazd u tych samych gatunków i przystosowywanie np. tych budowli do warunków klimatycznych.

Pewien gatunek wilgi, zwany Baltimore, żyjący w Ameryce, buduje gniazda rozmaicie i sto-

sownie do miejscowości, więcej lub mniej ciepło. W południowych Stanach Ameryki północnej, owo gniazdo zrobione jest wyłącznie ze mchu, ścianki są bardzo przewiewne dla łatwego dostępu powietrza. Wewnątrz niema ciepłego wysłania i gniazda obrócone są na zachód. W stanach północnych zaś przeciwnie. Wystawione są na działanie promieni słonecznych i wysłane materiałami najcieńszymi i najcieplejszymi. Gdy się zastanowimy głębiej nad powstawaniem podwójnych gniazd tkaczów, gdzie samiec buduje sobie obok samiczki „przybytek rozkoszy“, w którym śpiewa, aby ją bawić — mimowoli nasuwa się pytanie, czy te dwa gniazda, budowane może ongi na jednej gałęzi, powoli, zbliżając się do siebie z pokolenia w pokolenie, nie utworzyły takiego typu, jakiego jest obecne gniazdo o dwu komorach?! A patrząc na gniazdo czapli afrykańskiej, które złożone jest aż z trzech komór oddzielnych i tak trwałych, że mogą wytrzymać ciężar człowieka, nie można wierzyć nawet, aby ta przemądra budowa wyłoniła się z głowy jednego ptaka. Ona się musiała wznosić i udoskonalać stopniowo, przez długie pokolenia.

Im częściej znoszone są jaja, to jest, w czym szybszym tempie przybywają nowe pisklata — tem prędzej przechodzą z jednego pokolenia na drugie wskazówki, rezultat nabytego doświadczenia, a tem mocniej się one utrwalają, im dłużej malcy zostają w towarzystwie rodziców i dorosłych. Gdy jednak młode stają się na tyle silne, że mogą sobie same szukać pożywienia, oraz tak już roztropne, że przyswoiły sobie i praktyczne zastosowują wskazówki, otrzymane od rodziców — rodzice odsuwają się od nich stopniowo. I wtedy to, tak z potrzeby bezpieczeństwa, jak z popędu, bardzo silnego u zwierząt, do życia towarzyskiego — młode skupiają się w gromady. Gdyż, o ile społeczeństwo małżeńskie trwa przez całe życie jego członków, społeczeństwo rodzinne ogranicza się zwykle do jednego roku; tylko u kurek wodnych, grupa rodzinna obejmuje dwa pokolenia piskląt. Po okresie dzieciństwa i życia rodzinnego — rodzinę zwierzęcą pochłania społeczeństwo wyższego rzędu — utworzone przez wiele grup połączonych.

Żadna istota żyjąca nie jest samotną. Zwierzęta, szczególnie, utrzymują wielorakie stosunki z istotami, które je otaczają, nei mówiąc już o tych, które pozostają w ciągłym obcowaniu z podobnymi sobie, prawie wszystkie one podlegają życiowej konieczności zawierania, bodajby na krótką chwilę, ścisłej spójni z jakimś innym osobnikiem swego gatunku. (c. d. n.)



ŻADANIE GRECZYNEK.

„Związek Narodowy Kobiet Greckich“, organizacja, skupiająca w sobie olbrzymi procent inteligentnych i uświadomionych społecznie Greczynek, wystąpił z petycją do rządu, w której wymienia wszystkie postulaty społeczne, narodowe i polityczne kobiet greckich. Na pierwszym miejscu znajduje się protest przeciwko zamierzonej przez rząd grecki redukcji bud-

żetu oświatowego. Związek podkreśla w tym proteście niezmiernie doniosłą rolę oświaty elementarnej i wyraża obawę, aby ta redukcja nie odbiła się ujemnie na ilości szkół ludowych, których brak i tak już dotkliwie odczuć się daje w Grecji. „W imieniu wszystkich matek greckich — brzmią słowa owego memoriału — protestujemy uroczyście przeciwko zamierzonej redukcji naszego budżetu oświatowego. Żadamy, aby dzieci nasze miały zapewnioną sobie możliwość odebra-

nia wykształcenia elementarnego, bez którego nie mogą stać się rozumnymi, uświadomionymi i prawdziwie kraj swój miłującymi obywatelami państwa". Żądanie to poparł również swą rezolucją Międzynarodowy Związek Równouprawnienia Kobiet na swym ostatnim kongresie w Paryżu.

LOTNICTWO, JAKO POLE PRACY DLA KOBIEC.

Niedawno odbyło się dziesiąte posiedzenie doroczne Międzynarodowej Komisji Lotniczej, w której brali udział przedstawiciele dwudziestu państw. Pośród rezolucji, uchwalonych przez tę komisję, znajdował się także wniosek, przemawiający za dopuszczeniem kobiet do wykonywania zawodu lotniczego na równych prawach z mężczyznami. W szczególności wypowiedziała się komisja za zezwoleniem kobietom na sterowanie samolotami i zeppelinami, przeznaczonymi do użytku pasażerskiego, podkreślając, iż kobiety nie ustępują bynajmniej mężczyznom w sprawności technicznej, odwadze, ostrożności i przezorności, wobec czego pasażerowie, chcący korzystać z lokomocji powietrznej, nie byłiby z pewnością narażeni na żadne niebezpieczeństwo, gdyby u steru samolotu, zamiast lotnika, zasiadła wykwalifikowana lotniczka.

TRIUMF SZWEDKI.

Równouprawnienie kobiet jest już w Szwecji reformą dokonaną oddawna i nie dziwi tam nikogo fakt, że najwyższe i najodpowiedzialniejsze nawet stanowiska rozdzielane bywają nie podług kryterium: do jakiej płci należy dana osoba, lecz podług jej osobistych uzdolnień. Pismo kobiece szwedzkie „Hertha“ donosi o nowym triumfie kobiecym na polu lekarskim: przed kilku tygodniami zawakowała posada naczelnego kierownika szpitala w Malmö — jednego z największych i najwspanialej urządzonych szpitali w całym państwie szwedzkim. O stanowisko to ubiegał się bardzo liczny zastęp najwybitniejszych lekarzy szwedzkich, otrzymała je jednak kobieta, Dr. Greta Muhl, której kwalifikacje osobiste i zawodowe uznane zostały przez komisję konkursową za najwyższe z pośród wszystkich innych, zgłaszających się kandydatów.

ENERGICZNA GUBERNATORKA.

„The Woman's Leader“ podaje wiadomość o niezmiernie energicznej i zaciętej kampanii wyborczej, toczącej przez obecną gubernatorkę Texasu, zwaną popularnie przez mieszkańców tego Stanu „Mamą Ferguson“. Pani Ferguson, której okres rządów już się kończy w tym roku, postanowiła kandydować na gubernatorkę na następne trzy lata. Współzawodnikiem jej jest niejaki pan Daniel Moody, piastujący obecnie godność najwyższego prokuratora Stanu Texas. W płomiennej odezwie wyborczej, wydanej przez siebie, pani Ferguson zapowiada, że „nie da się zbić z tropu żadnymi pogrozkami, nie będzie się lekka żadnych przeszkód, a jeśli jej konkurent spróbuje obrzucić ją błotem — ona potrafi znaleźć kamienie, by na te pociski odpowiedzieć“. Podobno opinia publiczna odnosi się naogół z dużą sympatią do „Mamy Ferguson“, ma więc ona duże szanse zwycięstwa i przy tych wyborach.

„ZWIĄZEK PRZECIWKO SKAPSTWU“.

We Francji zawiązany został oryginalny związek kobiecy pod nazwą: „Bratnie Stowarzyszenie Kobiet w celu walki ze skapstwem“. Celem tego stowarzy-

szczenia jest — jak głosi jego statut — ochrona kobiet zameżnych, prowadzących gospodarstwo domowe, przed skapstwem mężów, którzy, jak się to często zdarza we Francji, odmawiają żonom swym dostatecznych środków na prowadzenie domu, wychowanie dzieci oraz własne potrzeby materialne i kulturalne. Związek rozpoczął energiczną propagandę w Paryżu i na prowincji drogą wieców publicznych, odczytów etc. Jednym z postulatów związku jest dążenie do wprowadzenia we Francji prawa obowiązującego już w Szwecji i Norwegii, na mocy którego mąż jest obowiązany wypłacać żonie na utrzymanie domu i osobiste jej potrzeby kwotę w wysokości określonej przez władze, a zależnej od jego stanowiska społecznego i zarobków.

SŁUŻACE — PRZYCZYNA ROZWODÓW.

Statystyka rozwodowych spraw w Anglii wykazuje, że w ciągu roku 1925 dwanaście tysięcy rozwodów udzielonych było z powodu... służących. Lenistwo, brak fachowego obozowania się ze swą pracą lub niedbałość sług angielskich stawała się przyczyną ciągłych nieporozumień pomiędzy małżonkami, mąż bowiem, wracając do domu po ciężkiej, nieraz całodziennej pracy, i zastając swój pokój źle sprzątnięty, obiad niesmacznie przyrządzony, bielizne nienaprawioną, lub niedbale upraną i t. d. — wpadał oczywiście w gniew i robił wymówki żonie, która, zajęta pracą zawodową lub wychowywaniem dzieci, nie miała czasu na dopilnowanie tych szczegółów gospodarczych. Stąd wynikały coraz częstsze nieporozumienia między małżeństwem, wzajemne żale i swary, które kończyły się wreszcie — u sędziego do spraw rozwodowych. Tak więc znany kryzys służby domowej w Anglii, poza wszystkimi innymi swymi opłakanymi skutkami, stał się jeszcze przyczyną rozerwania wielu małżeństw.

„DEKALOG ZDROWIA“.

Jeden z wybitnych lekarzy-higienistów angielskich ogłasza następujące „Dziesięcioro przykazań“ dla ludzi, chcących zachować dobre i czyste zdrowie aż do najpóźniejszej starości:

1. Ubić się tak i utrzymuj w twoim mieszkaniu taką temperaturę, aby ci nigdy nie było zimno.
2. Jedz powoli i o regularnych godzinach dnia.
3. Dbaj o prawidłowe funkcjonowanie żołądka.
4. Zachowuj jaknajskrupulatniejszą czystość ciała.
5. Używaj jak możesz najwięcej świeżego powietrza i słońca.
6. Śpij jak możesz najdłużej, w każdym razie nie mniej, niż osiem godzin dziennie.
7. Nie przejmuj się nigdy rzeczami małej wagi i nie bądź upartym w drobnostkach.
8. Staraj się być zawsze pogodnym, uprzejmym dla wszystkich i wyrozumiałym.
9. Bądź odpornym na swoje własne kłopoty, a do cudzych spraw się nie wtrącaj, chyba wtedy tylko, aby komuś dopomóc.
10. Nie rób nigdy długów.

W tym dekalogu zawarta jest cała tajemnica zdrowia ludzkiego. Jeśliby mi ktoś zarzucił, że więcej w nim jest przestróg moralnych, niż higienicznych, odpowiem mu na to, że strona duchowa człowieka oddziałuje daleko głębiej i silniej, niż przypuszczamy, na jego stronę fizyczną. Pogoda i dobry humor, odporność na życiowe przykrości, oraz to, co nazywać zwykliśmy „spokojnym sumieniem“ — są to wszystko

warunki dobrego zdrowia niemniej ważne i istotne, niż ściśle przestrzeganie higienicznego trybu życia. Każdemu z moich pacjentów polecam — zamiast recepty — zapamiętanie sobie następującej maksymy:

„W każdej chwili twego życia — od kolebki aż do grobu — otrzymujesz, zarówno świadomie jak i bez twej świadomości, niezliczone mnóstwo darów od Boga. Pomyśl tylko, że przyjdzie wreszcie czas na zbilansowanie tego obrachunku, a wtedy jak się będzie przedstawiało twoje konto względem Boga?“

MILCZĄCA EWA“.

Wiek nasz jest epoką zmierzchu wszystkich legend. Coraz to któryś z badaczy i uczonych współczesnych występuje do walki z jakimś utartym poglądem, czy zakorzenieniem, i, zbrojny w erudycję wiedzy, wykazuje nam, że to, co uważaliśmy dotychczas za pewnik nieulegający kwestji, opiera się jedynie na złudzeniu.

Taką „burzycielką legend“ jest młoda literatka francuska, pani Izabela Sandy, autorka kilku zajmujących utworów powieściowych, osnutych na tle życia wieśniaków pirenejskich. W odczycie swoim, wygłoszonym niedawno w Paryżu przed bardzo liczny gronem publiczności, pani Sandy usiłowała dowieść, że ogólnie rozpowszechnione mniemanie o wielomówności kobiet jest tylko na niczem nie opartą złośliwą plotką. Wymownymi są i zawsze byli właśnie mężczyźni, którzy zawsze rezerwowali sobie zazdrośnie prawo głosu, kobiecie zaś kazali milczeć, i to nie tylko w kościele, jak chce Święty Paweł, (a przeciwko czemu już protestują feministki angielskie, domagając się dla kobiet prawa objaśniania Pisma Św. w anglikańskich kościołach). Milczenie było nakazane kobiecie

w ubiegłych wiekach zarówno we wszystkich sprawach publicznych, jak i prywatnych. Wielu prawodawców zabraniało jej nawet odzywać się w towarzystwie mężczyzn, jeśli zaś pozwalano jej to czynić, powinna była zabierać głos „skromnie, w cichych, łagodnych i krótkich słowach“.

„Trudno zaprzeczyć — mówiła dalej mówczyni — że w wieku swobody indywidualnej i proklamacji „praw człowieka“ kobiety usiłowały może czasami zbyt gorliwie wynagrodzić sobie długie lata przymusowego milczenia. Czyż można jednak dziwić się więźniowi, wypuszczonemu na wolność, że swobody swej nadużywa on zrazu trochę?“ Pani Sandy radzi kobietom francuskim jaknajprędzej opanować w sobie owe cechy, będące śladami dawnej niewoli. „Niechże już nie spotykamy się z zarzutem, że kobieta więcej mówi, niż myśli. Wróćmy — tym razem dobrowolnie — do dawnego milczenia. Znajdziemy w niem lekarstwo na dzisiejszą tak rozpowszechnioną neurastenję, z czerpnijemy z niego siły do życia, odnajdziemy w sobie tą drogą wewnętrznego skupienia myśli dawne, szlachetne, czyste i ofiarne uczucie kobiety-matki, kobiety-ofiarnicy z własnego życia i szczęścia dla dobra innych“.

Na zakończenie swej konferencji stwierdziła pani Sandy, że Francuzi są również niesłusznie uważani przez inne narody za gadatliwych. Zamiłowanie do życia gorączkowego, rozproszonego i szarpiącego nerwy, zostało wprowadzone do Francji przez cudzoziemców. Rolą kobiety francuskiej jest właśnie dążyć do oczyszczenia psychiki współczesnej Francji z tych zgubnych i obcych duchowi francuskiemu naleciałości. Mówczyni zakończyła swój odczyt, oklaskiwany entuzjastycznie, okrzykiem: „Ewo! wróć do twego milczenia!“

Z. B.



UBRANIE KOBIECE POD KONTROLĄ PAŃSTWOWĄ.

W obecnych czasach, więcej niż kiedykolwiek dawniej, zwraca się uwagę na ubranie kobiece. Każdy chciałby wtrącić jakieś słówko w tej kwestji. Lekarze wszystkich krajów ogłaszają uczone rozprawy na temat, czy ta lub inna część ubrania jest higieniczna, albo też nie. O wartościach zdrowotnych tej albo innej materji, o wpływie amerykańskich, czy też francuskich obcasów na stopy, na ręce i nogi — pisze się bez końca.

Sfery duchowe wypowiadają się znowuż w kwestji ujemnego wpływu na moralność społeczeństwa powojennego, wywieranego przez suknie bez rękawów, głębokie dekolty, krótkie spódniczki i cielistego koloru pończoszki. Aż wreszcie i rządy poczęły się wdawać w tę sprawę.

Głośne na całą Europę były zakazy noszenia krótkich sukienek w Grecji. Stróżowie porządku publicznego mieli nawet instrukcje karania i aresztowania upartych i niepoprawnych Greczynek za noszenie sukienek za kolanka.

We Francji znowu powstał projekt stworzenia Państwowej Akademji Mody, która ma wypracować przepisy, jak się kobietom wolno i niewolno ubierać.

Nawet dalej — co kobiety powinny nosić.

Nowa ta akademja, mająca nosić nazwę „Academie Francaise des Arts de la Parure“ ma być szóstym wydziałem przy „Institut de France“. Akademja ma liczyć 40 członków, mężczyzn i kobiet, po raz pierwszy mianowanych na urząd ten przez Ministerstwo Oświaty.

Kandydatami na członków tej akademji mają być znani malarze, rzeźbiarze, wybitni krawcy damscy, krawcowe, artystki sceniczne, znane ze swej elegancji i dobrego smaku, oraz wytwornie ubierające się kobiety z towarzystwa.

Wspólne i zgodne orzeczenia tych wszystkich osobistości miałyby być miarodajnym dla długości lub krótkości spódniczek, dla kwestji noszenia rękawów, głębokich dekoltów, kolorów tych lub innych.

Członkowie i członkinie akademji mają również rozstrzygać w kwestjach obuwia, pończoch i wogóle wszelkich szczegółów damskiej garderoby.

Co jednak na to powiedzą kobiety?

Czy zechcą istotnie poddać się dyktaturze panów i pań z akademji? Jeżeli akademja kierować będzie dobry gust — należałoby tej dyktaturze przyklasnąć.



697.

698.

699.

700.



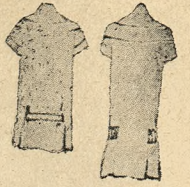
201.

202.

203.

204.





709

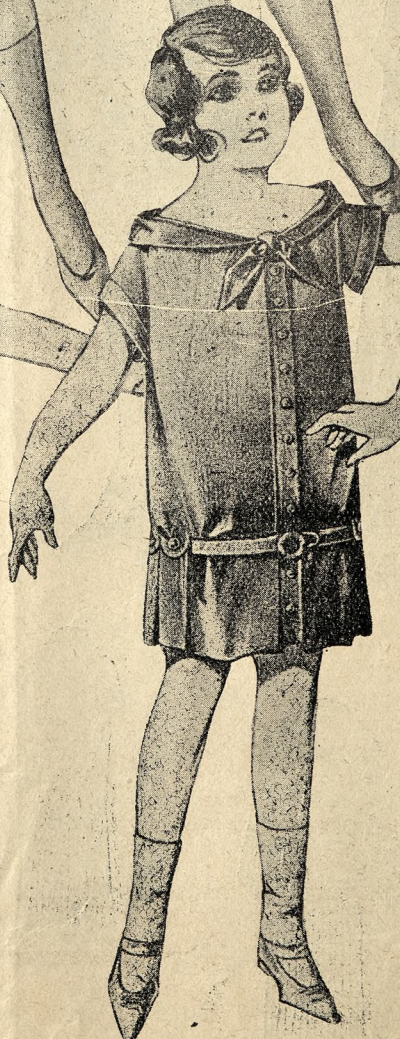
710



711



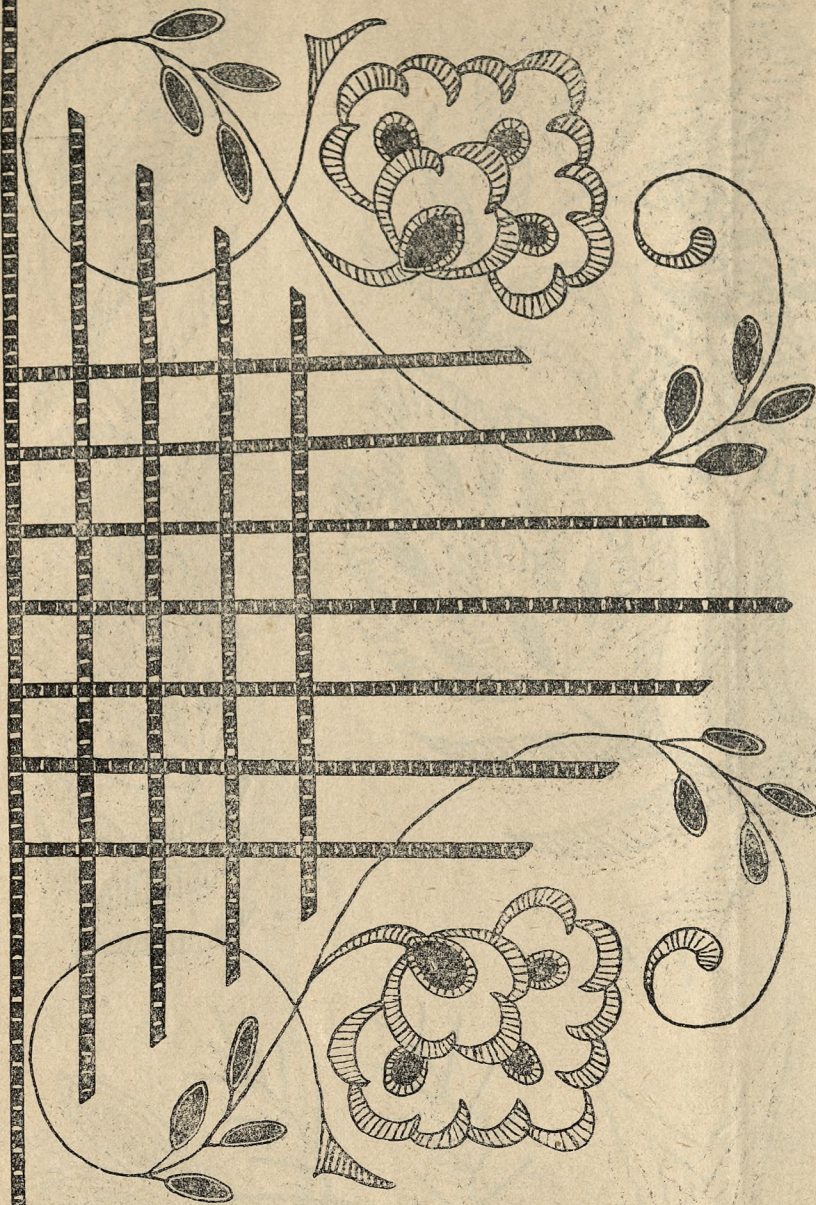
712



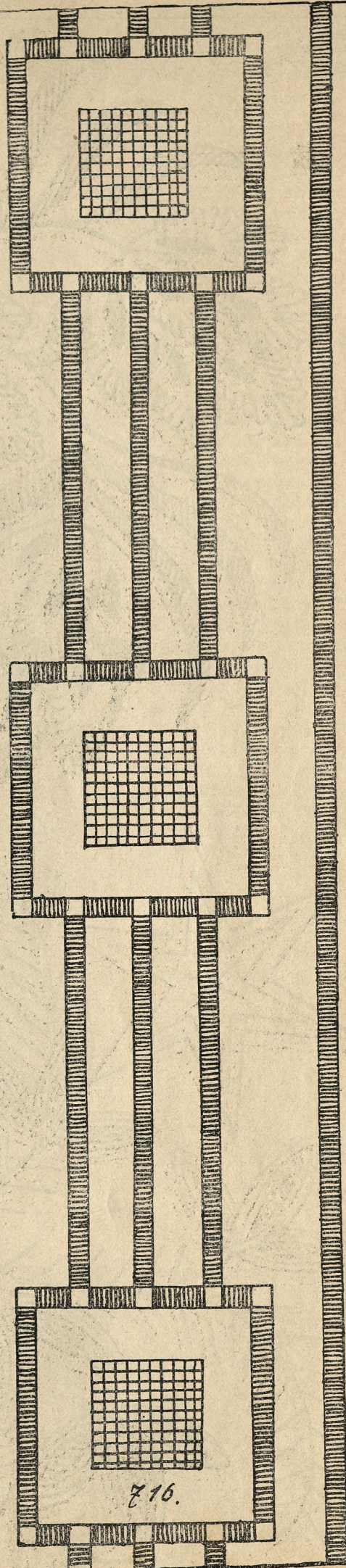
713



714



715.



716.



717.



JUMPER SZYDEŁKOWY WYSZYWANY JEDWABIEM.



Rys. 1.

Sliczny jumperek, wyszywany jedwabiem na tle szydełkowej siatki. Aby go wyszyć, trzeba tylko ciągle powtarzać deseń Nr. 3, który w zmniejszeniu dajemy, zmieniając kolory według upodobania. Wyszywając na jasnym, na przykład, kremowym spodzie kolorami ponsowym i granatowym na przemian, otrzymamy jumper w stylu ludowym. Na tłach obojętnych kwiaty i liście w kolorach złotym i zielonym, niebieskim i złotym, rdzawym i czarnym i t. p. pięknie odbijać będą. Pasy powtarza się po kilka razy wzdłuż, w dowolnych odstępach, stosownie do szerokości jumpra. Na jumper potrzebujemy na siatkę 100 gr. jedwabiu niekręconego i 150 krętego

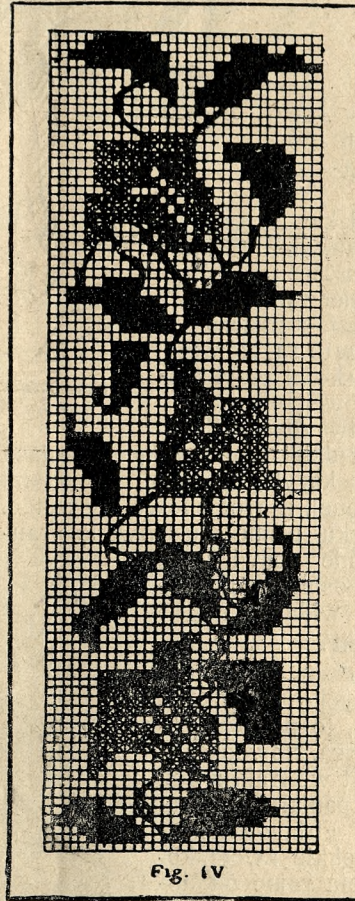
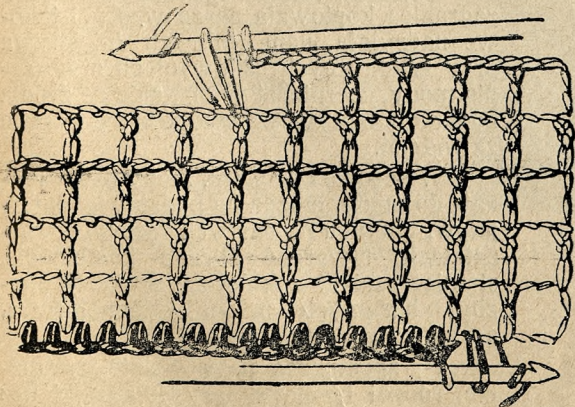


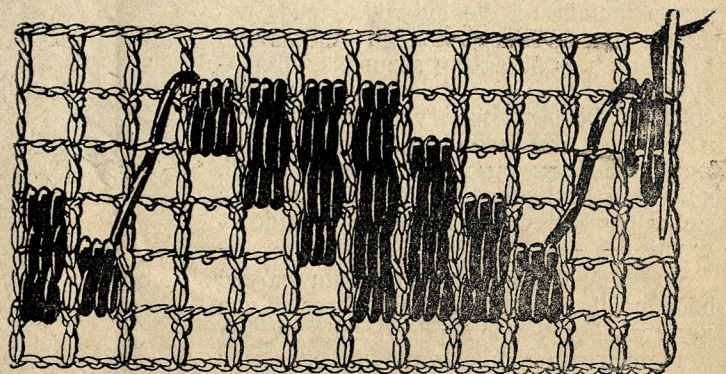
Fig. 1V

Rys. 3.

na poszycie, i szydełka celuloidowego, 2 milimetry średnicy mającego. Zaczyna się robotę, jak zwykle od dołu na podstawie 235 oczek łańcuszkowych plus 3 oczka na zakręcie. Następnie rys. Nr. 4 robi się całą długość potrzebną podług miary, dodając dowolną ilość kratek na rękawki, i nie zapominając z o s t a w i ć przynajmniej 36 krutek luźnych na szyję (rys. Nr. 4). Zarobiwszy cały potrzebny kawałek, który po wyszyciu złożymy na pół i zeszyjemy w bokach, aby uformować jumper, wszywamy w krośna i wyszywamy całość w pasy, jak wyżej wskazana. Wykrój szyi i rękawki obrabiamy rzędem ścisłych oczek (rys. Nr. 5), jednym z kolorów, użytych do wyszywania.



Rys. 4.



Rys. 2.

SMOKINGI, A PASIAKI.

Jak łatwo przeciągnąć strunę ślepego hołdowania modzie i poddawania się jej zaborczym prądom, świadczy ironja, z jaką ogół odnosi się we Francji do ekscentrycznej mody smokingów.

W pierwszych przejawach swoich dyskretny i do kostiumu damskiego zbliżony, prędko przyjął cechy anormalne, a zatracił charakter swój spokojny i wykwiłtny.

Sztywne gorsy, stojące kołnierzyki, mankiety i krawaty o czysto męskim typie, nadać mu miały piętno swoiste, a tak chętnie przez zblazowane i żadne sensacji adeptki, w ostatnich czasach podkreślane.

Rażące szczegóły, jakie ośmieszyły smoking damski, wykwitły z tego samego szczepu, co koszulka nocna, chemisier zwana, co krótko, zbyt krótko strzyżona i wdzięcznej linii pozbawiona główka, o włosach gładziutko do skroni przyklepionych — ze szczepu niezdrowej przesady.

Pisma francuskie stwierdzają fiasco smokingów — idą nawet dalej, ośmieszając hołdującą tej modzie pleć piękną, karykaturalnymi rysunkami o doskonale wyjaskrawionej, a groteskowej sylwetce.

Mam właśnie w ręku pismo ilustrowane francuskie, otwarte na stronie poświęconej nie tyle smokingowi, ile ośmieszeniu nowych prądów. U góry widnieje napis:

Et pourquoi pas l'habit?
(Dlaczego nie frak?),

niżej szereg doskonałych rysunków, z których najudatniejszy, to para nowożeńców, krocząca do ołtarza. Nowoczesna oblubienica przybrana jest we frak, z pod którego sływa długi wspaniały tren, na głowie cylinder strojny, girlanda kwiatów, przytrzymujących lekkie zwoje koronkowego welonu, dokoła roino od doskonale uchwyconych figurek, z których każda rzuca się w oczy jakimś szczegółem zbliżonym do rzeczywistości.

Patrząc na te karykaturalne rysunki, przypomniała mi się sylwetka inna, widziana na tle rozkosznego morską krajobrazu w ubiegłym sezonie letnim — sylwetka barwna, wdzięczna. nierównie śmielsza, bo od typu i rysunku uznanych, a modnych daleko odbiegająca, a jednak bez najmniejszych cech groteskowości, sylwetka zasługująca na to, aby zapisać się w pamięci widza i znaleźć naśladowczynię.

Osoba, która strój, o jakim mówić będą, nosiła, parotygodniowy okres swych wywczasów letnich poświęcać zwykła prawdziwemu odpoczynkowi, opartemu na swobodnym obcowaniu z naturą. Chcąc wyzwolić się z pod tyranji mod-



Karykatury rysowane przez Karola Martin (Femina).



nych gałganków i starań, jakich ciągle ich odświeżanie, a przywdziewanie wymaga, daleka jednak a bnegacji i dbała o wdzięczną całość, za punkt wyjścia wzięła sobie nasze swojskie pasiaki, stwarzając na ich podstawie strój ładny, oryginalny i wysoce praktyczny.

Z pasiaków, wykonanych w Skierniewickich warsztatach, podług specjalnego doboru kolorów w tonie, dalekim od jaskrawości, zrobiona była spódnica i rodzaj kaftana — kamizelki, bez rękawów, na rząd drobnych barwnych guziczków spiętej, i tasiemką lamowanej, a na prostą białą bluzkę z długimi, w pasek zamiast mankieta wszytymi rękawami narzuconej. Stroju dopełniała tak zwana zapaska, z misternie tkanego w wymyślne desenie staroławickiego wełniaka o ślicznym doborze kolorów i cechach prawdziwego artyzmu. Na nogach pantofle z wązkich paszków skóry plecione, typem sandałów pokrewne i doskonale od całości dopasowane.

Na plaży i w lesie, na werańdzie domu kuracyjnego, na pomoście statku wycieczkowego, wszędzie strój ten zwracał uwagę i ciągnął oczy, odznaczał się przytem podziwu godną odpornością na słońce, co przy częstych, a niespodziewanych deszczach, jakie na naszym padają wybrzeżu, było nieocenionem.

Widziałam kiedyś grupę spłoszonych deszczem z plaży osób — wszyscy przemokli do nitki, zanim pod dach skryć się zdołali, jeden tylko strój, o którym mowa okazał się na wysokości. Wełniaki strażnięte z kropel deszczu suche były i niczem gumowana tkanina nieprzepuszczalne, a świeżość stroju nienaruszona.

Dzisiaj dopiero, kiedy nadeszły nam z Francji materiały letnie o motywach, wzorowanych na nagrodzonych w ubiegłym roku w Paryżu pasiakach, spotyka się czasem suknie typem swojskie, a śliczne. Czy nie jest to jednak ironja, aby zagranica kopiowała nasze wzory i takowe nadsyłała nam, których inicjatywa przy tyloktrotnych usiłowaniach stworzenia mody, czerpiącej natchnienie ze źródła bogatych motywów swojskich — stale zawodziła.

W sezonie obecnym, kiedy pasy wracają do mody, można na podstawie materiałów, tkanych na naszych ręcznych warsztatach, stwarzać śliczne kombinacje, stalując pasiaki w kolorach modnych, niezbyt barwnych n. p. jednokolorowe, a stopniowo cieniowane.

Na spódniczce pasy wzięte podłużnie, rodzaj jumper'a, czy kamizelki bez rękawów, znaczonych pasami poprzecz-

nymi, co składa się na najmłodniejszą kombinację, a przez lekko otwarty przód uwidoczniła biel skromnej bluzeczki żabotem wykończoną z surowego wykonanej jedwabiu. Kombinacja śliczna i niczem modzie nie uchybiająca.

Do tego rodzaju ubrania, pasowałyby noszone z takim zapalem przez najzagorzalsze adeptki mody woreczki ręcznie z rafji plecione i także kapelusze.

Ozdobą jednych, jak i drugich są barwne motywy o rysunku kwiatów, czy też owoców, lub liści wypukło rafją kolorową szyte. Proste to, a śliczne i do stroju letniego, do tła lasów, pól, błękitu morza, cie-

nistych szpalerów, wonnych kwiatnych grząd, łąk szmaragdowych — harmonijnie dostosowane. Ślicznie też dałyby się zastosować wobec mody peleryn i pelerynek nasze łowickie zapaski — w fałdy drobne ułożone, przez plecy i ramiona zarzucone, a na barwną wstążkę pod szyją związane. Chroniłyby one doskonale od wieczornych chłódów zarówno nad morzem, jak i w górach, gdzie w chwili zachodu słońca ostry powiew dreszczem przejmując.

Wesoła barwność tkanin bez zatracenia typu w kolorycie lekko zmodernizowanym, tworzyłaby w słońcu ciekawą plamę, o charakterze swoistym, a ładnym i nowym.



POLSKA WSPÓŁCZESNA.

VII.

STOSUNKI ANTROPOLOGICZNE.

(Rysunki wg. książki prof. Talko-Hryncewicza „Człowiek na ziemiach naszych“.)

Człowiek na ziemiach Polski pojawił się, jak to można sądzić z licznych w naszym kraju wykopalisk, jeszcze w okresie między-lodowcowym. Pierwsze ślady osiedli ludzkich, spotykane są na Podolu i Ukrainie, które jako wolne od lodów mogły wcześniej dać schronienie ludziom pierwotnym, zapewne stanowiącym element napływowy przybywający od stepów czarnogórskich. W trzecim tysiącleciu przed Chrystusem, rozwinęła się nawet na tych ziemiach dość wysoka kultura, nazwana od miejscowości w której odnaleziono liczne kurhany i wykopaliska z tych czasów, kulturą trypolską. Kultura ta upadła pod wpływem wędrowek ludów innej rasy, które coraz liczniej wlewały się od południa, przez stepy ukraińskie, na ziemię Polski.

Później, oprócz tych wędrowek, człowiek osiadły na ziemiach Polski podlegał wpływowi ludów przybywających z zachodu, a także ze Skandynawji.

Taki układ dziejów sprawił, że na ziemiach naszych spotyka się obecnie mieszaninę kilku typów fizycznych, znacznie się od siebie różniących i występujących w rozmaitych ilościach w róż-

nych częściach Polski. Uczni, którzy zajmowali się badaniem budowy fizycznej mieszkańców Polski, a w szczególności, prof. J. Czekanowski i prof. Talko-Hryncewicz, doszli do wniosku, iż takich zasadniczych typów można u nas wyróżnić 4: typ prasłowiański, ciemnego blondyna, o jasno-piwnych oczach, niskiego wzrostu i pośredniogłowy*), — typ sarmacki, blondyna o oczach niebiesko-zielonych, wysokiego wzrostu, pośredniogłowy, — typ dynarski bruneta o oczach ciemnych, wzrostu wyżej-średniego, krótkogłowy i wreszcie, — typ północny, jasnego blondyna o niebieskich oczach, średniego wzrostu, długogłowy.

Typy te, dadzą się odszukać na całym obszarze Państwa. W jednych miejscach niektóre występują gęściej, inne rzadziej — w innych odwrotnie. Nigdzie nie spotykamy żadnego z nich bez domieszki innych. Prawie całe Królestwo Kongresowe i Wielkopolskę charakteryzuje przewaga typu prasłowiańskiego, z domieszką północnego. W Galicji przeważa również typ prasłowiański, lecz z dość silną domieszką dynarskiego. Na Li-



Włoszianka z Wojew. Lwowskiego.

*) Określenie **pośredniogłowy** — odnosi się do budowy czaszki. — Czaszka **pośrednia** stanowi typ przejściowy pomiędzy czaszką, której oś pionowa znacznie przewyższa oś poziomą (**długogłowość**) a czaszką, której osie są niemal w równowadze (**krótkogłowość**).

twie dominuje typ sarmacki, a dodatkowy stanowi prasłowiański. Wreszcie na Białej Rusi i na Polesiu najczęstszym jest typ prasłowiański, a na drugim miejscu stoi typ sarmacki.

Nie wiele różnią się od siebie, w poszczególnych okolicach, pod względem budowy fizycznej i ludzkiej i szlachta. Znać tutaj wybitną wspólność rasową, czego nie można powiedzieć o wszystkich społeczeństwach zachodniej Europy. Tak więc w Polsce warstwa możnych, zwana „nobiles“ po łacinie, była warstwą napływową, obcą, przybywającą z zewnątrz.

Oprócz tych typów antropologicznych właściwych ludności autochtonicznej**) ziem kraju kilka typów



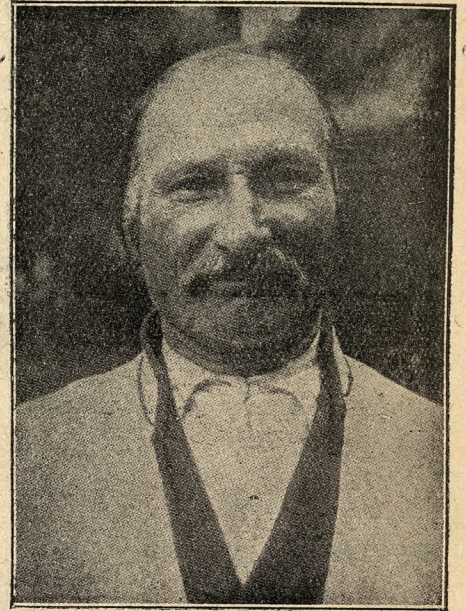
Ślązaczka.

polskich, spotykamy w naszym kraju, będących napływowymi w stosunku do urobionej już w sposób opisany masyludności, i pochodzących od przybyszów z czasów historycznych.

Najważniejszym znanym z pośród tych typów odrębnych jest typ żydowski. Żydzi przybyli do Polski dwoma drogami — z zachodu i z wschodu, przez Krym i Kaukaz. To też występują w Polsce, jak i w całej reszcie Europy, dwa wyraźne typy między żydami. Oba one odznaczają się krótkogłowością, ale gdy jeden, brunet, o ciemnych oczach niewielkiego wzrostu, występuje częściej na południu Polski — to drugi ciemno blondyn (szatyn, rudy), o oczach piwnych lub zielono-niebieskich o wzroście

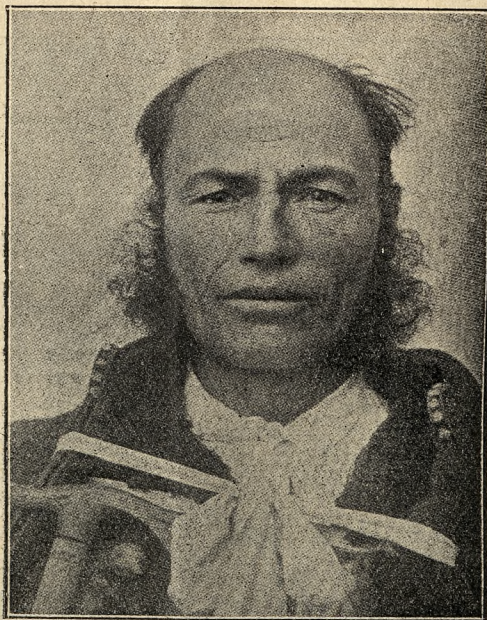
średnim — charakterystyczny jest dla żydów z Litwy i z północnego Królestwa Kongresowego. Naogół żydzi są niżsi od ludności odrębnej, mają węższą budowę ciała, a w twarzy i w całej postaci, posiadają pewne cechy, im tylko właściwe, trudne do określenia, a jednak wyróżniające od razu typ żydowski. Żydzi osiedlali się po miastach i tworzyli odrębne gminy.

Odmianę typu żydowskiego stanowi typ karaimski. Karaimowie przybyli do Polski z Krymu, później niż żydzi. Typ ciemny jest wśród nich wybitniejszym niż u żydów. Częściej występują także osobniki pośredniogłowe. Karaimi



Włościanin z pod Krakowa.

nie posiadają przytem owych charakterystycznych dla żydów, wyodrębniających od otoczenia, cech fizycznych. Osobny typ stanowią wreszcie zamieszkali na Wilenszczyźnie i w Województwie Nowogródzkim tatarzy, czyli muśnimowie. Pochodzą oni do jeńców Witoldowych sprowadzonych i osadzonych na Litwie w XV. wieku. Tatarzy Litewscy²⁾ zatracił czysty typ mongolski¹⁾ w ustawicznych mieszaniach z ludnością rdzenną³⁾. Występuje on jednak z rzadka i dzisiaj jaszczce, a odznacza się krótkogłowością ciemnym ubarwieniem włosów i skośnie osadzone czarnymi oczyma.



Góral tatrzański.

Wreszcie należałoby wspomnieć o kolonizacji wsi polskiej na prawie niemieckiej, która w XII i XIII wieku wprowadziła do Polski osadników z Flandrii i z Niemiec z okolic nadreńskich.

**) Autochtoniczna ludność, — ludność od wieków osiadła, pierwotna.



PRZEMYSŁ LUDOWY NA WOŁYNIU.

Garncarstwo.

Stosami rzucone na podłogę żydowskich sklepów w Łucku, naczynia gliniane o szlachetnych liniach, niby prastare popielnice, czy łzawnice pomarłych ludów, zwróciły moją uwagę. Zaczęłam dopytywać o ten archaiczny przemysł ludowy, obserwować, a oto garść informacji o nim.

Początkiem swoim sięgający z pewnością epok przedhistorycznych, pozostał na tym samym stopniu rozwoju, na jakim był przed tysiącami lat, i z tego już powodu stanowi zjawisko niezmiernie interesujące. Gdy zbliżamy się do pieca garncarza, to tak, jakby nas przeniesiono nagle w przeszłość, zmierzchem dziejowym osłonięta, niezapisana jeszcze w żadnej kronice, epokę ludzi pierwotnych. To tak samo wyglądało wtedy. Czemże bo jest taki piec? Sklepienie nadziejne niewysokie, zrobione z cegieł, ze starych czerepów i oblepione od wewnątrz i od zewnątrz gliną. Wewnątrz przegroda na ustawianie naczyń, a pod przegrodą wykopane w ziemi palenisko. Instrumentem niezbędnym dla garncarza jest „koło garncarskie“, rzecz, która się prawie nie zużywa, przechodzi więc z ojca na syna, i niektóre z tych narzędzi są naprawdę bardzo dawnego pochodzenia. Zresztą potrafi je zrobić każdy garncarz sam, albo zrobi mu je bednarz wiejski. Garncarze, produkujący naczynia polewane, używają nadto prastarej konstrukcji żaren do mieleńia, t. zw. „glejtu“, i farb, które kupują w żydowskich sklepikach prowincjonalnych miasteczek. A poza tem — ułamek starej kosy, kawałek drutu, polano (druzak) do rozrabiania gliny, drzazga zaostrzona do postrugiwania surowego naczynia, kwacz do malowania, różek do farby, szpilki do rysowania — oto cały prymitywny niezmiernie sprzęt garncarski.

Forma produkcji jednoosobowa przeważnie, czasem rodzinna, nie ma również nic wspólnego ze współczesnymi formami pracy. Tylko w Ostrogu posługują się garncarze najętymi robotnikami. W innych stronach garncarz nie przyjmuje nawet obcego ucznia. Synowi tylko lub zięciowi przekazuje tajemnice sztuki.

Bardzo ciekawe i archaiczne są metody zbytu. W detalicznej sprzedaży występuje często forma handlu zamiennego. Za pełen garnek zboża daje garncarz nowy garnek. Garncarze rozwozą swój towar po jarmarkach i odpustach, a gdy nie rozprzedadzą, a potrzebują gotówki, zbywają go hurtem żydowskim kupcom. Wtedy sprzedaje się na „sztuki“, ale ta „sztuka“ — to bynajmniej nie pojedyncze naczynie, to wiązka kilku naczyń, złączonych drutem, a tak dobranych, że każda wiązka równa jest wartością drugiej.

Obyczaje te, uprawiane przez wszystkich garncarzy Wołynia, dowodzą, pradawnego i wspólnego źródła tutejszego przemysłu garncarskiego.

O początku i przeszłości garncarstwa nie dochowała się żadna tradycja. Na pytanie w tym kierunku odpowiadają garncarze, że „zdawien dawna“, że „z dziada pradziada“, zajmują się tym przemysłem, Oto wszystko! Istnieją jednak dokumenty, świadczące, że w 1724 r. we wsi Surażu ufundowany został cech garncarski. Dawna organizacja pracy brała więc ten przemysł w swoją opiekę. Dzisiejsza nie wie, co z nim począć i zostawia go niejako poza nawiasem współczesnego życia, jako zabytek przeszłości, skazany na zagładę.

Praca garncarska odbywa się w chałupach; przeznaczona się na nią część osobna, gdyż mieszkać niepodobna tam, gdzie leży mokra, rozrobiona glina. Tam schną także naczynia przygotowane do wypalenia, tam jest skład gotowego już towaru. Czasem wyjątkowo, jakaś przybudówka, czy osobna komora, mieści warsztat pracy. W garncarstwie pracują wyłącznie mężczyźni. Słyszałem tylko o jednej kobiecie, gdzieś w okolicach Ostroga, która, wyjątkowo, oddaje się temu zajęciu. Na wyrób naczyń swoich używają garncarze, zwyczajnej „pstrej“ gliny, czasem z domieszką piasku dla trwałości. Są, wprawdzie na Wołyniu i białe glinki (kaoliny), odpowiednie do wyrobu fajansu i porcelany, ale tych garncarze nie umieją używać. Wymagają one, bowiem, wyższej temperatury, niż może wytworzyć ich prymitywny piec. Białe glinki stosują tylko do polewy. Glinę albo posiadają na własnym gruncie, albo wydzierżwiają jej kopalnie na gruntach dworskich, lub rządowych. Pokłady gliny są najczęściej na powierzchni, i wtedy kopie się zwyczajne „doły“. Gdy pokład jest głębiej położony, trzeba budować t. zw. „szachty“, ocembrowane drzewem. Przygotowanie gliny do wyrobu naczyń, polega na oczyszczeniu jej z kamyków, szczątków roślinnych i t. p. oraz na rozmiękczeniu wodą i wyrobieniu na jednolitą, lepka masę. Dokonywa się tego za pomocą wody, strugania gliny kosą lub drutem, deptania nogami, walenia drażkiem, lub polanem. Cały ten proces wymaga 2 miesięcy czasu. Potem następuje czynność wyrabiania naczyń i wypalania. Na każde wypalanie wystarczy naczyń z jednej fury gliny. Wypala się 2 — 3 razy w ciągu roku, wyjątkowo — 4 razy. Okresem najintensywniejszym pracy w garncarstwie są miesiące marzec i kwiecień. Tylko w Ostrogu i okolicy pracuje się cały rok.

Piece bywają wspólną własnością (do 10 wspólników). Dzieje się tak, że jeden z garncarzy zajęty jest wyrabianiem swoich naczyń, gdy drugi już wypala, i w ten sposób kolejno. Każdy garncarz po wypaleniu obowiązany jest do remontu pieca. Remont polega na wylepieniu go z zewnątrz i z wewnątrz gliną. Tylko w Ostrogu każdy garncarz ma swój piec.

Bardziej skomplikowanym procesem jest wyrób naczyń polewanych i malowanych. Te trzeba wypalać poraz drugi. Na polewy używa się t. zw. „glejtu“. Do naczyń z dwóch fur gliny wystarcza pud glejtu (40 ros. funtów) Do barwienia polewy używa się białej i czerwonej gliny, miedzi i t. zw. „bronsztejnu“; do malowania służą farby, kupione w mieście, mieszane również z białą i czerwoną gliną, miedzią i „bronsztejnem“. Takie naczynia wyrabia tylko 68 garncarzy.

Wszystkie wyroby garncarskie podzielić można na trzy grupy: 1) zwyczajne, 2) polewane, 3) polewane i malowane.

Co do kształtu, rozróżnić się daje:

- 1) garnek „hornia“, „hornec“, „horszczyk“;
- 2) dzban „zbinok“, „bańka“;
- 3) dzieża „hładyszczyk“, „hładyszka“;
- 4) miska „miska“, „makutra“, „pokryszka“, „rynka“;
- 5) Zabawki dla dzieci, dziwaczne i pierwotne kugutki z postaciami ludzkimi, siedzącymi okrakiem na kogucie, lub na psie, czy koniku, kto wie, czy nie wyobrażenia dawnych bożków?...

Te zabawki robią tylko w Wiśniowcu.

Specjalne znaczenie, raczej dekoracyjne niż użytkowe, mają miski. Polewane i malowane, ustawia się rzędami w „mysnyku“. Służą one do ozdoby wnętrza chaty. Ornamentyka tych misek — bardzo prymitywna, przeważnie zygzaki lub „kapki“. Coprawda nie brak zachęty ze strony żydowskich kupców do uromaiaceń „modern“, ale garncarze dość oporni są względem tych pokus. Najwierniej zachowują czysty, stary ornament bracia Husiatyńscy i Tabaczuki w Jelowicy Wielkiej, oraz Prowoziuki w Sadniczkach.

Cały ten przemysł ma charakter zajęcia pomocniczego.

Głównym zajęciem garncarza jest rolnictwo. Nawet bezrolni garncarze wydzierżawiają kawałki ziemi, lub zajmują się do robót polnych. Garncarstwo — to tylko dodatek.

Garncarstwo wołyńskie ma swoją główną prastarą siedzibę między Ikwą a Horyniem, w dorzeczu najwyższej części Wołynia. Tu tkwi ono gniazdam. Tu często całe wsie oddają się temu zajęciu.

W dorzeczu rzek Muchawca (dopływ Horynia) i Ikwy leżą osiedla garncarskie: Zaliśce, Kuszlin, Kuniniec, Wiśniowiec i Krzemieniec. Nad Jelowicą (dopływ Ikwy) Jelowica Wielka i Antonowce, nad Wilją (dopływ Horynia): Sadeckzi, Suraż, Wilja i Ostróg. Nad Zbytynką (dopływ Wilji): Żalibówka, Moszczanica i Stunno.

Wszystko to razem stanowi jedno wielkie gniazdo pierwotne, z którego poszukujący gliny garncarze rozeszli się po dalszych okolicach. Teren ten, obejmujący odcinki 4-ech powiatów, był prawdopodobnie kolebką wołyńskiego garncarstwa.

Obecnie rozmieszczony jest w sposób następujący: gospodarstwo, uprawiających garncarstwo ma:

Powiat Krzemieniecki	322
„ Łucki	132
„ Kowelski	75
„ Rówieński	14
„ Ostrogiński	12
„ Dubieński	8
„ Włodzimierski	2
Ogółem . .	565

Produkcja gospodarstw tych wynosi rocznie około 1/2 miliona naczyń, i zaspakaja wyłącznie wołyński rynek zbytu. Poza granicę województwa nie sięga.

Wojna wstrzymała rozwój przemysłu garncarskiego, ale nie zatamowała go. Stoi on na tym samym mniej więcej poziomie, co przed wojną. Takie przynajmniej jest zdanie znanego badacza Wołynia, p. Prusiewicza, z którego notatek i materiałów pozwolono mi zaczerpnąć powyższe dane.

A przecież przy pewnych udoskonaleniach technicznych, które nie powinny zatrzeć nic z charakteru i stylu tej wytwórczości, możnaby produkować więcej, możnaby produkować na eksport. Uboga ludność Wołynia mogłaby uzyskać tym sposobem poważne źródło dochodu.

Tymczasem godzi się tem garncarstwem zainteresować jednostki i instytucje, uprawiające t. zw. sztukę stosowaną. Pięknych linii naczyń niepolewanych, zwłaszcza t. zw. „bańki“, wypalonych z lekka na bladawy kolor wysuszonej gliny, nadają się doskonale do malowania na nich. Należałoby tylko ten ornament utrzymać w harmonii ogólnej z liniami naczyń, z jego prymitywnym charakterem.

Zwracamy uwagę artystek naszych na tę ciekawą produkcję.

Krzemieniec w lipcu.

H. Ceysingerówna.

O KUKURYDZY CZYLI „TURECKIEJ PSZENICY” SŁÓW KILKORO.

Wielki poeta, Pascoli, napisał poemat o — mietlicy i skromnej pomocnicy gospodyni: miotle — ja, gdybym była wielkim poetą, napisałabym poemat liryczno-dydaktyczny o kukurydzy. Zrosło się to ziele nierozłącznie z moimi wspomnieniami dzieciństwa i młodości i krajobrazem południowych kresów Polski.

Ta malownicza roślina, która łanom Czerwonej Rusi dawała cechy podobieństwa do okolic włoskich, przyszła do nas z południa, ale przyszła oblanymi łzami Czarnym Szlakiem najazdów tureckich. „Turecką pszenicą“ nazywała się po staropolsku. Przez okrutnych najeźdźców przyniesiona, stała się jednak nieraz ochroną dla ofiar najazdu. Zarówno w sitowiacz nadbrzeżnych, jak w bujnym gąszczu kukurydzy, „w chłopa wysokiej“, kryły się dziewczki i młodyce przed okiem tatarów.

Powrotna fala zdarzeń i odczuwań! W pamiętnej wiecznie, złotej, pogodnej jesieni 1914 taki sam żywiołowy, czasem bezmyślny lęk, takim samym atawistycznym ruchem praprababek przyklekały strwożone kobiety, kryjąc się, jak przepiórki w zbożu, w cieniu miłosiernej rośliny, gdy ulicami pędzili czerkiesi, i opo-

dal rozlegały się strzały i jęki rannych.... I ślady krwi na liściach kukurydzy, jak przed wiekami.

Kto nie słyszał, jak szumi łan kukurydzy, temu trudno opowiedzieć, ile smutku jest w tym chrzęście, podobnym czasem do chrzęstu szabel rycerskich.

Dla dziecka jest to las, pełen tajemniczego uroku, jak jakaś dżungla, w której zgubić się można.

Jak miło położyć się wśród łanu i widzieć nad sobą szafirowe niebo, a na tle jego wstęgi liści, wytworne w rysunku, jak bambusy na drzeworytach japońskich.

Pamiętam, jak radził mi pewien malarz, aby skomponować wzór do dekoracyjnego haftu w ten sposób: stawia się biały papier, lub nawet płótno, rozpięte w ten sposób, że padają nań cienie rośliny, maluje się wtedy wdzięczną sylwestkę kolankowatej łodygi, powiewnych liści i wiechy u szczytu. Kontury obwiedzie się potem łańcuszkowym ścięciem. Widziałam parawan, w ten sposób ozdobiony, materiałem był szary samodział, liście kukurydzy mieniły się gamą barw czerwonożółtych.

Szło się do kąpieli ścieżeczką wąską, rozchylając rękoma chrząszczące, jędrne, łamliwe lodygi bujnej kukurydzy, i rozsiane wśród nich, mocno pachnące, konopie.

Nagle, z poza zielonej palisady, błyskała cicha, ciepła, szaro-błękitna woda.

Jakże miło, wracając, odświeżywszy się kąpielą, z rozbudzonym, młodzieńczym, wilczym apetytem, łamać po drodze młode kolby, których białe, zlekka żółknące już ziarenka wylańiały się z zielonkawych lupin i przedziwa, miękkiego, jak jedwab. Trochę żarzonych węgli pod kuchnią, albo ogieniek, rozpalony w polu, i już skwarzy się zatknięta na kijku kukurydżka. Apetycznie przyrumieniona, smakuje wybornie, a gdy ją masłem świeżem posmarować i zlekka posolić, to przysmak prawdziwy.

Uwaga: do pieczenia należy brać kukurydżę węgierską, słodką, białą, której ziarna, wysuszone, są pomarszczone i niepozorne, ale świeże, w półdojrzałe, błyskają, jak perłowej białości zęby pięknej kobiety.

Taka kukurydza, gotowana, ma smak migdałów. Wiemy z najnowszych teorii przyrodniczych, jak po silne i zdrowe daje pożywienie. Ale te kolby, które w Warszawie, w pierwszorzędnym nawet sklepie, np. u Pakulskich, widywałam, to parodia w porównaniu z kukurydzą podolską, równą w smaku rumuńskiej, węgierskiej i włoskiej. Potrzeba, smać, by ziarno należytego smaku nabrało, ziemi żywej i tłustej, ciepłego słońca, jakie Polsce daje tylko Podole. Czyż jednak tak trudno byłoby sprowadzać ją z tamąd? Wiedeń miewał stale na targu kukurydżę węgierską. Jadano ją w najwykwintniejszych restauracjach i ludowych garkuchniach.

Kto nigdy nie widział, jak się jada gotowaną kukurydżę, ten zdumieje się na widok towarzystwa, ogryzającego z apetytem kolby, które trzyma się w dwóch palcach, „po amerykańsku“ powiada nowy podręcznik do hodowli jarzyn, „po staropolsku“ powiem ja, pamiętając, jak dziwiły się „barbarzyńskiej“ potrawie nauczycielki francuskie po dworach wiejskich, zanim nauczyły się same ze smakiem ją spożywać i cieszyć się wraz z swemi pupilami, gdy zjawiał się, po zupie, imponujący półmisek, pełen białych, wielkoziarnistych kolb, czyli, jak u nas mówiono, „szulek“.

W czasie wojny, odcięci od świata, żyliśmy nieraz tygodniami całymi fasolą i kukurydżą, posadzoną na rabatach, gdzie niegdyś pyszniły się kwiaty. I o dziwo! Ta utylitarna obsadka, gdy jeszcze dodało się do niej obrzeżenie z czerwonych buraczków i bledozielonej sałaty, była zupełnie ładna.

Gdy jesień zabarwi łany kukurydzy żółtawym tonem surowego jedwabiu, czas wylańiać kolby, które nabrały już ślicznego, pomarańczowego koloru. Czerniały przedziwką, nadające kolbom pozór zabawnych kukulek o włosach królewicza z bajki: złotych, rudych i płowych. Lupiny mają teraz wygląd prażkowanego, złotawego, lub szarego jedwabiu, czasem amarantowego, naznaczonego smugą. Rozmyślałam nieraz, czy nie dałoby się zużytkować tego pięknego materiału na jakieś okładki książek, wyplatanki?...

Najpiękniejsza pogoda towarzyszy zwykle zbiorowi kukurydzy, dokonującemu się z końcem września. Na podwórkach wiejskich, gdzie piętrzą się już złote stogi zboża, gromadzi się stosy wylańianych kolb, teraz trzeba je wyluskać z opom, czyli „terebić“, jak

mówi się z ukraińska. Do tej roboty zwołuje się wieczorami młodzież, za poczęstunek chętna do roboty. Przy śpiewach szybko idzie praca i następują tańce, — to jest „tłoka“, kukurydziane dożynki.

Najpiękniejsze „szulki“ wiąże się w wieńce, splatając lupiny w misterne warkoczyki, i upina pod strzechą. Jest to bajecznie kolorowy obrazek, te festony i pęki, lśniące najpiękniejszym kolorem czerwieni i złota pod szarą, lub płową słomą dachu.

Resztę kolb wyluskanych, składa się do „koszniczy“, tego specjalnie dla kukurydzy skonstruowanego, upleczonego z wikliny, miniaturowego śpiczra-kosza, który tak malowniczo ozdobi podwórzec, gdzie ziarno tak pysznie wysycha. Rozkładają je również na strychach.

Tymczasem ogołocone lodygi, smutnie sterczą w ogrodzie i chrząszczą, chrząszczą...

Wreszcie zrywa je gospodarz po pierwszych przymrozkach. Teraz znów sympatyczna rola przypada im w udziale. Związane w snopki, podtrzymane prętami, otulą chaty, jakby ciepłym kożuchem. Zwie się to „zakała“. Dziwnie miło wygląda tak opatulone domostwo, gdzie tylko okienka błyskają, jak wesołe oczy dziecka, z pod ciepłej czapeczki. Na desce okiennej tuli się ptactwo domowe: kury, a czasem i kot srokaty, pożądliwie zerkając ku wróblom, również szukającym schronienia w poczciwej kukurydziance, która wszystkim udziela przytulku i ciepła.

Na wiosnę zaś, koło Wielkiejnocy, gdy chata wyluska się z zimowej opony, i gospodyniami obielili ją na święta, kukurydzianka pójdzie do żłoba, i krowy, wygłodniałe po długiej ziemi, schrupią ją ochoczo.

A teraz wrócimy do ziarna. W krajach północnych: Niemczech, Szwajcarii, kukurydżę uważa się za pożywienie bydła, zwłaszcza świń — na południu, gdzie ziarno jest smaczniejsze, stanowi ono ważny przyczynek do codziennego posiłku ubogich ludzi.

Wszyscy znają polentę włoską. W czasie wielkiej wojny, Niemcy prowadzili usilną propagandę, aby ludność do tej strawy przekonać. Na ziemiach dawnej Wołoszczyzny i graniczących z nią ziemiach dawnej Polski, na Ukrainie, Podolu i Wschodniej Małopolsce, narodową potrawą stała się Kulésza, po ukraińsku Kulisz*), także mamałyga z wołoską zwaną.

Była ona strawą najuboższych, którym zastępowała chleb, ale nie brakło jej na stole wykwinnych magnatów, skoligaconych z Wołoszą, lub bogatych Ormian, pulchna, okraszona słoniną, rozcinana drucikiem, zakończonym z dwóch stron patyczkami. Opowiadano jeszcze do niedawna, jak to za krzesłem leniwego bagacza, rumuńskiego stawał hajduk, którego obowiązkiem było skręcać gałki z mamałygi i karmić swego pana, jak indyka.

Ta, napozór skromna, „proletariacka“ potrawa, wcale łatwa do sporządzenia nie jest. Może ją spartolić kucharz, a po mistrzowski sporządzić prosta stara baba.

Możeby udało się u nas w modę ją wprowadzić, tę tania, a smaczną potrawę. Jedyną do odżywiania ludzi słabowitych, starców, dobrą i dla dzieci. Kulésza wymaga tylko, aby mąka na nią była sucha, z rumianego ziarna zmielona, miałka. (Nie grysik, jak na polentę).

Oto przepis, ściśle z tradycji podolskiej spisany:

na kipiącą, osoloną wodę sypie się mąkę (na litr wody, ½ litra mąki), w sposób specjalny, tak, aby utrzymała się na powierzchni, a woda żeby się pod nią gotowała. Gdy dobrze zakipi, zalewać mąkę wodą za pomocą łyżki drewnianej, brzegami, tak, aby się na wierzchu utworzyła skorupa. Po kilku minutach, przewrócić tę bryłę mąki łyżką na drugą stronę.

Następnie zrobić w środku dziurę, za pomocą kopystki*), tak, aby kipiątek dostał się do środka.

Po kwadransie gotowania, dopiero całą tę masę dobrze wymieszać kopystką, nakryć garnczek pokrywą, włożyć do piecyka i wypiekać przez ½ godziny.

*) Kopystka, rodzaj łopaty drewnianej, u dołu trochę rozszerzonej, specjalnie do mieszania kuleszy i prażuchy.

N. b. wypieka się najlepiej w żelaznym garnku. Gotową leguminę, pulchną, żółtą i pachnącą, wyrzuca się na misę i podaje: w lecie z „kwaśnem“ (zsiadłem) mlekiem, w zimie — z gorącym.

Także ze słoniną, skwarkami, świeżem masłem.

Po „bukowińsku“ przysmaża się mamałygę, krążąc wystygłą na kawały 2 cm. grube, rumieni na rozpalonym tłuszczu i podaje z tartym serem i roztopionym masłem, lub śmietaną.

Dobrá jest również kasza z krup kukurydzianych. Tylko na kulesz trzeba brać mąkę z kukurydzy żółtej, a nawet „czerwonej“. Na krupy dobra jest biała i słodka. Gotuje się ją dłużej, niż kaszę hreczaną, a potem wypieka pod pokrywą. Wygotowana na mleku, ma smak zupełnie wykwintny.

K. Bielańska.



LÓD SZTUCZNY.

Na lat kilka przed wojną, bodaj-że już w roku 1919, zwrócono uwagę na to, że lód, będący w handlu, zawiera masę nieczystości i wydano rozporządzenie (nie wiem, czy uczyniły to władze administracyjne, czy też magistrackie), aby lód, używany do przyrządzania i przechowywania pokarmów, był przygotowywany, lub pochodził z wody, zdatnej do picia. Dzisiejsze przepisy idą dalej: do użytku wewnętrznego i do bezpośredniego chłodzenia produktów spożywczych, wolno używać tylko lodu sztucznego. Aby uniknąć oszustwa, lód taki ma być przechowywany w zupełnie odosobnionych pomieszczeniach, z napisem na szyldzie: „lód do wewnętrznego użytku“, ze wskazaniem firmy i adresu fabryki i tam tylko sprzedawny. Tak wyglądają przepisy, — a jak wygląda rzeczywistość? Składów specjalnych z lodem jest tak mało, że o nich ani gospodynie, ani służące nie wiedzą, i nikt ich o tem poinformować nie może, gdzie ich w najbliższej okolicy szukać mogą. Apteki, w których przed wojną można było nabyć mniejsze ilości lodu czystego, obecnie uważają tego rodzaju sprzedaż za niekorzystną i sprzedają lód tylko za receptą doktorów. We wszystkich sklepach z napisem na oknie: „sprzedaż lodu“, sprzedają wyłącznie lód naturalny, nieraz po połowie z błotem. Tej zimy zmuszona do użycia go, gdyż innego nie dostałam, kazałam go umyć w kilku wodach i użyłam do kruszonu. Wydawał się być zupełnie czysty. Jakież było moje przerażenie, kiedy w szklankach, obok pomarańczy i ananasa, zobaczyłam delikatne, zielone wodorosty, niewątpliwie pochodzące z lodu, raczej ze stawu, z którego lód był brany. W mojej wiejsko-kresowej naiwności nie przypuszczałam, aby lód mógł pochodzić z czegoś innego, jak rzeki, lub dużego jeziora, tymczasem dowiedziałam się od osób, mieszkających na krańcach Warszawy, że lód rąbia i wożą z glinianek, tych okropnych kloak, do których ściekają wody ze śmietnisk miejskich, i nikt temu nie przeszkadza, nikt tego nie zabrania. Podobno rozpowszechniło się to w ciągu dwu ostatnich, bezśnieżnych zim, kiedy Wisła prawie nie zamarza, a nawet zamarznięta, ma lód tak cienki, że się jego eksploatacja nie opłaca. Piszę tutaj o Warszawie, ale jestem

przekonana głęboko, że dzieje się to samo we wszystkich miastach i miasteczkach, bo warunki higieniczne na prowincji są zawsze jeszcze gorsze, i wszelkie przepisy zdrowotne jeszcze mniej przestrzegane. Chciałabym wierzyć w to, że w restauracjach używają lodu sztucznego tylko, jak przepisy każą, jednak od czasu tych wiadomości o gliniankach, dziwnie straciłam apetyt do chłodnika, mazagranu i t. p. Zresztą, jest to może niesłuszne posądzenie restauracji, gdyż właśnie one mają wszelkie ułatwienia, co do używania sztucznego lodu. Lód sztuczny jest wyrabiany w ładnych blokach ośmiokilowych (półpudowych), które są dostarczane na miejsce użycia. Kawiarnia, czy restauracja może sobie na kupienie takiego bloku, nawet kilku, lub kilkumastu, zależnie od frekwencji zakładu, pozwolić, opłaca się to jej sowicie. W gorszej pozycji są gospodarstwa prywatne, już lodówka pokojowa jest dużym, jednorazowym wydatkiem, na który sobie urzędnik, oficer i t. p. pozwolić nie może. (I pomyśleć tylko, że w Ameryce kuchnia każdego robotnika jest zaopatrzona w lodówkę, stanowiącą taką niezbędną część kuchni, jak piec i blacha w gotowaniu?) Nawet posiadając taką lodówkę, jeżeli będziemy brali codziennie blok takiego lodu, kosztujący złoty, to wydatek na sam lód wyniesie trzydzieści złotych miesięcznie, (przed wojną za dwa, trzy ruble miesięcznie w abonamencie, miało się codziennie ładny kubełek lodu do lodówki). Ci, co nie mają lodówki, są zmuszeni kupować lód w miarę potrzeby. Jest to dosyć ułatwione, na telefoniczne wezwanie przywożą lód — ale nie mniej pół puda. Otóż, chcąc uprzystępnąć lód szerokim masom, ochronić ich zdrowie przed spożywaniem zanieczyszczonego lodu naturalnego, należy przede wszystkim, latem przynajmniej, otworzyć sprzedaż lodu sztucznego w możliwie wielu punktach, w ilościach, zaczynając od jednego kilogramu. Że to się da skutecznie, to widziałam sama w bałtyckich prowincjach i przedwojennym Petersburgu. Wóz-lodownia jeździł po ulicach, dzwoniąc głośno, służba na dzwonek wychodziła, lód piłowano piłką z dosyć dużą dokładnością, — (ćwierć bloku, stanowiło pięć funtów, czyli dwa kilo), — podobne urządzenie mogłoby być

i w Warszawie i we wszystkich dużych miastach na prowincji. Lub też fabryki sztucznego lodu powinny zacząć wyrabiać mniejsze, naprzykład dwukilowe bloki, i urządzić dostawę, lub chociaż abonament, takich mniejszych ilości. Ostatnimi czasy zaczęto gwałtownie reklamować maszyny do domowego wyrobu lodu. Nie przesądając o ich celowości i praktyczności, muszę jednak zaznaczyć, że są one jeszcze bardzo drogie i że kto sobie na taką maszynę pozwolić może, może kupić dużą, dobrą lodówkę i co dwa dni półpudowy blok lodu sprowadzać. Na wsi zaś wszędzie jest czysty lód na miejscu, zresztą trudno o sole potrzebne w dużej ilości i niema elektryczności do napędu. Maszyny te, chyba bardzo udoskonalone i uproszczone, znajdują zastosowanie w prywatnych gospodarstwach.

Pani Elżbieta.



SZASZŁYK Z BARANINY.

Kto w czasach przedwojennych miał możność widzenia Krymu lub Kaukazu, zapewne zachował w swej pamięci tę potrawę, mającą jedną wadę tylko, a mianowicie tę, że ludność tubylcza, codziennie ją jada, a co zatem idzie, eleganckie restauracje i ludowe „duchany“ (gospody), odwiedzane przy wycieczkach, codziennie nią gości częstują, codziennie i wyłącznie, co jest jeszcze gorzej. Na szaszłyk tatarzy używają mięsa z całego barana, my bierzmy tylko mięso z kotełki lub pieczeni, starając się brać na tę potrawę wyłącznie mięso z młodego barana, kości wykrajając i użyć na jaką zabielańską zupę (najlepsze ogórkowe). Mięso pokrajając na cienkie, (najwyżej czteroccalowe) kawałki, grubości palca, ile mamy tych kawałków, tyle ukrajając cieniuchnych płatków słoniny, (tatarzy jej nie używają, ale to wiele smaku baraninie przy smażeniu dodaje) niech więc się zatraci nieco kolorytu lokalnego. Cynaderki, oraz z okalającym je tłuszczem też pokrajając w cieniuchne płatki. Ile osób siada do stołu, tyle wystrugać cienkich patyczków z drzewa, na każdy nanizać po osiem kawałków baraniny, każdy przekładając plasterkiem słoniny, lub cynaderki. Na dużej patelni rozpalić łyżkę masła, kłaść na nie rożenki z baraniny, posolić i popieprzyć już na patelni. Zrumienić na bardzo silnym ogniu, uważając, aby mięso w środku pozostało soczyste. Mieć oddzielnie ugotowany ryż na sypko, ułożyć go wzdłuż półmiska, na końcach położyć pokrajane w plastry, surowe pomidory i w całości kawałki pokrajany zielony szczypior od cebuli, na wierzch ułożyć rożenki z szaszłykiem. Na patelnię z tłuszczem wlać parę łyżek wody, zagotować, polać tem ryż i podawać bardzo gorące. Do szaszłyka podaje się talerze wygrzane, jak do kołdunów.

PASZTET Z KACZEK NA ZIMNO.

Udusić ze słoniną i z cebulą cielecą wątróbkę, ostudzić, przepuścić przez maszynkę z pięciami bułeczkami, wymoczonemi w mleku, dodać aromaty, pieprz, gałkę muszkatową, majeranek, utrzeć razem dodać trzy całe, surowe jaja, wyrobić doskonale. Dwie

kaczki domowe oczyścić starannie z pierza i supłów, opalić nad spirytusem, owinać w plastry słoninki, upiec pod blachą. Kaczki pokrajając, kości większe wyjąć i ugotować na nich z włoszczyzną parę szklanek smaku. Zrobić kruche ciasto z kilo mąki i pół kilo smalcu, jednego jajka, nieco soli i trochę wody. Długą formę do keksa wyłożyć tem ciastem, ułożyć w niem warstwami farsz i kawałki kaczki, kładąc pomiędzy dróbki, jeśli są, osmażone pieczarki, grzybki prawdziwe, lub nawet młode maślaczki, ostatnia warstwa powinna być z farszu. Pokryć ciastem, posmarować żółtkiem i piec przez półtorej godziny w umiarkowanie gorącym piecu. Smak wygotowany z kości sklarować z łupinkami od jaj, precedzić, na dwie szklanki smaku, wcisnąć sok z cytryny, rozpuścić w nim pięć listków żelatyny. Zrobić mały otwór w cieście, wlać galarete, wynieść na chłód, gdy pasztet dobrze ostygnie, wyrzucić z formy, trzymać na chłodzie przez dwadzieścia cztery godziny. Krajając na plastry i podawać z sosem provensal lub „Cumberland“. Taki pasztet nadaje się wybornie do zabierania na wycieczki.

KOTLETY Z GOTOWANEJ RYBY.

Drobne, niepozorne rybki oczyścić starannie, ugotować w niedużej ilości, przepuścić przez maszynkę z taką samą ilością na wagę gotowanych kartofli. Na pół kilo tej masy dodać dwa jajka, przesmażoną na maśle cebulę, wyrobić doskonale. Zrobić nieduże kotlety, osypać mąką, smażyć na obficie rozpuszczonem maśle lub smalcu, podawać z jakąkolwiek jarzyną, zieloną sałatą, lub chrzanem z octem. Jeżeli jest pozostała ryba smażona lub gotowana, można ją użyć, zamiast gotowania specjalnie. W ten sposób można użyć różne drobne, mało wartościowe rybki.

WIŚNIE SMAŻONE W CIEŚCIE.

Duże wiśnie, słodkiego gatunku, naprzykład łutówki, mocno osadzone na szypułkach można użyć do tej potrawy. Utrzyć dwa żółtka z paru łyżkami mąki, łyżką cukru i niedużą ilością mleka, na ciasto gęstsze, nie na naleśniki, białko ubić na sztywną pianę, wymieszać z ciastem. W rądelku rozpalić smalec, po trzy, lub pięć wiśni związać w pęczki, maczać w cieście i smażyć na smalcu do zrumienienia. Zaraz potem tarzać w cukrze, utłuczonym z wanilią i gorące podawać.



DOBRE RADY.

W czasie lata, na wsi, często trudno jest o „okazję“ do miasteczka po chleb świeży. Wtedy trzeba umieć przechować zakupiony, aby jak najdłużej był jadalny. Świeży chleb okrywa się w płótno, albo przechowuje w worku, obficie przesypując mąką. Jajka przechowuje się najlepiej na dziurkowanej desce, przyczem należy je często przewracać.

W braku lodowni, przechowywać mięso w sposób następujący: wyjąć z beczki jedno dno w ten sposób, aby szczelnie pasowała. Na dno spodnie postawić miseczkę z rozpaloną siarką, przykryć szczelnie drugim dnem, na którego wewnętrznej stronie zawiesić mięso. Postępowanie to trzeba od czasu do czasu powtórzyć. Tak zabezpieczone mięso pozostaje przeszło tydzień zupełnie świeżem i nie posiada żadnego smaku, ani zapachu spalonej siarki.

Korespondencje działu praktycznego.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Zrozpaczona.

Odsyłam Panią do odpowiedzi „Prenumeratorka ze Śląska“.
E. Jochow.

Konieczne jest zbadanie wysypki u synka pani przez lekarza specjalistę. Bez zobaczenia nic nie można w tym wypadku poradzić.

Mimoza.

W odpowiedzi na pytanie, czy Resorcyna, lub „Mój Krem“ może nadawać twarzy barwę żółtą, zaznaczyć muszę, że jest to wykluczone! Przeciwnie, „Mój Krem“ wybiela tylko skórę, a resorcyna w spirytusie zwięża rozszerzenie pory. Kolor skóry żółty musi mieć w danym wypadku przyczynę wewnątrz organizmu. Choroba Basedowa, lub ogólne wyczerpanie po operacji, którą Pani przeszła, mogło dać żółty odcień skóry. Proszę się udać do lekarza specjalisty chorób wewnętrznych. „Mój Krem“, który specjalnie stosuje się na noc, wygładza skórę i zapobiega tworzeniu się zmarszczek.

Emilja H. (miejsowość W.).

Bardzo dobrem przy plamach po opaleniu się — mycie twarzy na noc kwaśnym mlekiem. Na dzień zaś wycieranie następującym płynem: 1 cytryna, 100 gr. gliceryny, 50 gr. spirytusu. W godzinę po wytarciu spłukać wodą i zastosować „Mój Krem“.

Przy silniejszym opaleniu się bez zadrażnienia skóry nast. recepta: Ung. emolient 50.0; Spir. Saponi Kalini 50.0.

Zwilżyć twarz wodą, następnie wetrzeć oba środki jeden po drugim na 10 minut, zmyć potem ciepłą wodą i użyć „Mój Krem“.

Artretyczce.

Polecam piperazynę krajową, b. dobrą wyrabia firma Karpiński, Elektoralna 35.

Iwonka.

Włosy przyciemnić można jedynie farbą roślinną Henna lub Saphiry na dr. Frenkla. Wszelkie środki domowe mogą dać bardzo przykre wyniki.

Stanisława S. z Wilna.

Jedynie masaż, umiejętnie przez dłuższy okres czasu stosowany, może wpłynąć na równomierne utycie lub schudnięcie.

Cz. Kalisz.

Porada na włosy może być dana po udzieleniu pewnych szczegółów: czy włosy są suche, czy tłuste, czy jest łupież, czy głowa swędzi. Czy przechodziła Pani poważne choroby i obecny stan zdrowia. Brodawki usunąć należy przez dietermę lub elektrolizę. Wszelkie żrące środki dają brzydkie blizny i nawroty.

Stała Prenumeratorka.

Na nagłe powstawanie rumieńca, środka doradczego nie ma, z czasem przejdzie.

E. Z. Spala.

Bez zbadania sumiennego nie można polecić dziecku, które chorowało tak poważnie, dokąd ma pojechać na lato. Mam wrażenie, że najlepiej w danym wypadku może poradzić lekarz, który leczył dziecko podczas choroby.

Halka — Borystaw.

Masę na plamy, tak zwany „Pigolin“, może być wysłana za zaliczką. Stosować ją należy 6 tygodni na noc, po uprzednim umyciu twarzy, zaś na dzień koniecznym jest używanie kremu „Mój Krem“. Pegolin 6 zł., krem 6 zł., porto 1 zł.

Co do włosów, proszę o podanie szczegółów — czy są tłuste, czy suche — zależnie od tego podam receptę.

Prenumeratorka ze wsi.

W pielęgnacji biustu jedynie masaż, stale i umiejętnie wykonany, daje dobre wyniki. Przy masażu stosować można opryskiwanie piersi rozpylaczem, wodą z dodaniem 1/6 tabletki soli aromatycznej. Masażu tego można się nauczyć w przeciągu 2 lekcji.

Zadne środki wewnętrzne nie dają efektu pożądanego.

Opis sukien i robót do № 32.

697. Suknia z surowego jedwabiu, układana w kontrafałdy.
698. Suknia z lekkiej wełny, koloru bois de rose.
699. Suknia z białego crêpe marocai, spódniczka plisowana.
700. Suknia z lekkiej wełny i czarna peleryna, podbita jedwabiem koloru sukni.
701. Suknia z popeliny rezedowej, przód z koronki, przerabianej złotem.
702. Suknia z crêpe de chine'u lavende.
703. Suknia z marocain ciemno-zielona, przybrana złotym haftem.
704. Suknia z miękkiej wełny angielskiej, w kratę, pasek i krawat z mięsistego jedwabiu, kołnierzyk z jedwabnego płótna.
705. Suknia z crêpe de chine'u bois de rose, spódniczka i zakończenie rękawów plisowane. Kołnierzyk z ciemniejszego crêpe de chine'u.
706. Suknia z popeliny piaskowej, pasek i kołnierzyk koloru koralowego.
707. Suknia z woalu niebieskiego, haft i kokarda, koloru brązowego ze złotem.
708. Suknia z popeliny fioletowej, góra jaśniejsza, dół ciemniejszy.
709. Sukienka dla dziewczynki, z wełny w kratę i gładkiej.
710. Sukienka dla małej dziewczynki z kasha białej z ponsowym w kratę, kołnierzyk biały, krawat ponsowy.
711. Sukienka z woalu granatowego, pasek lakierowany biały, kołnierzyk z płótna białego.
712. Sukienka kombinowana z gładkiej i deseniowej satynki.
713. Sukienka z ponsowej wełny, pasek czarny lakierowany.
714. Suknia z jedwabiu lekkiego w deseń, boki przyszywane na wierzchu, kołnierzyk z organdy.
715. Wzór haftu angielskiego i mereżki na strojną koszulę.
716. Wzór z mereżek i ażurów na dzienną koszulę.
717. Wzory na 2 kieszonki do serwet lub na szaszetki.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dzieciinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszczu“ w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelniczkom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele prenumeratorek nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.